MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 26 (nr 25 skonfiskowano) WARSZAWA, 12 CZERWCA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

POROZUMIENIE POLSKO-ŻYDOWSKIE

OPINIA narodowa winna wypowiedzieć się bez wszelkich niedomówień w sprawie coraz częstszych ostatnio ofert ze strony żydowskiej, których *leit-motivem* jest „wspólny front" polsko-żydowski przeciwko „wspólnemu wrogowi" — Niemcom Hitlera.

Na propozycje tego rodzaju odpowiedział już raz w sposób zupełnie jasny i wyraźny, a dobitny, jeden z dzienników poznańskich lecz widocznie żydostwu tego mało, skoro prasa żydowska w dalszym ciągu nie przestaje lansować pomysłów „ugody" polsko-żydowskiej, której celem byłoby przeciwstawienie się wspólne potędze germańskiej, a być może i powalenie tej potęgi *„viribus unitis"*.

Oferty żydowskie wyglądają zachęcająco. Za cenę stosunkowo niewielką zaprzestania „waśni" polsko-żydowskiej, mielibyśmy się pozbyć — w myśl sugestyj żydowskich — zmory niemieckiego *„Drang nach Osten"* przez ziemie polskie i dalszych tego parcia fatalnych następstw. Istotnie cena targu jest niewygórowana. Tak wiele byśmy zyskali a tak nieproporcjonalnie mały byłby nasz wkład! Wszystko zaś dzięki pomocy żydowskiej.

Na czem miałby polegać „uczciwy zysk" żydów w tej kombinacji prasa żydowska bliżej nie określa.

W jednym z ostatnich numerów „Naszego Przeglądu" znajdujemy ciekawy przyczynek do tych zagadnień. Jest nim głos przywódcy żydostwa czeskiego dra Angelo Goldsteina w relacji specjalnego wysłannika „Naszego Przeglądu" do Pragi Czeskiej, redaktora Włodzimierza Lenckiego.

P. Goldstein wypowiada się jako zwolennik stworzenia, lub raczej wznowienia, w Czechosłowacji bloku wyborczego polsko-żydowskiego — z dalszym celem wspólnej walki o prawa obu mniejszości w Republice. Na tem jednak nie koniec. Pan Goldstein pragnie rozszerzyć porozumienie polsko-żydowskie w Czechosłowacji na dalsze i o wiele szersze dziedziny.

Ale posłuchajmy wynurzeń samego p. Goldsteina.

P. Lencki: Jaki jest stosunek żydów tutejszych do porozumienia polsko-czeskiego? (Podkreślenie autora artykułu. Chodzi o to, że p. Lencki mówi o porozumiu polsko-czeskiem tak jakby było już ono faktem dokonanym. Myśmy o tem jeszcze nie słyszeli.)

P. Goldstein: To jest pytanie, na które dziecko panu może odpowiedzieć. Pierwszy chłopiec, który z książkami pod pachą biegnie do szkoły. Na to nie potrzeba robić wywiadów. Polacy to twardy i bohaterski naród. Przekonaliśmy się o tym podczas współpracy z nimi na niwie parlamentarnej. A przytym my żydzi naogół znamy historię i wiemy, że inaczej na pewno wyglądałaby karta Europy, gdyby władcy świata słowiańskiego byli w odpowiednim czasie nie prowadzili polityki wzajemnych walk i nieporozumień. Dlaczego dzisiejsze pokolenia narodów słowiańskich mają popełniać ten sam błąd? Jesteśmy przekonani, że rzecz ta czy prędzej czy później zostanie zrozumiana po obu stronach Olzy. Im prędzej to nastąpi tym lepiej będzie dla Europy. Ja jestem, widzi pan, optymistą. Wierzę mocno w to, że nastąpi otrzeźwienie i zbliżenie. Czesi wolą Gdynię niż Hamburg lub transport tranzytowy przez zglajchszaltowaną Austrię do Triestu. A Polacy kochają się w Gdyni, najmłodszym i najbardziej udanym swym dziecku. A zna pan napewno przysłowie: „dziecko za rękę — matkę za serce". Czy panu to wystarczy?

Według żydów, Arjowie wogóle, Słowianie w szczególności, a Polacy w najwyższym stopniu nie grzeszą inteligencją. Księgi żydowskie zasadniczo nawet odmawiają atrybutów intellektu t. zw. przez te księgi „narodom ziemi" tj. wszystkim nie-żydom.

Te mniemania stanowią punkt wyjścia wszelkiej postawy żydów wobec świata nieżydowskiego.

Nie wiem, czy jest rzeczą wskazaną (i pedagogiczną!) uświadamiać żydów, że wtedy właśnie,

gdy oceniają naszą zdolność myślenia i rozumienia najniżej, własną za to podnosząc do setnej potęgi, popełniają najgroźniejszy dla samych siebie w skutkach błąd: stają się dla oczu naszych przejrzyści jak woda (przejrzystość cechuje również wodę mętną i cuchnącą) gdy my natomiast nabieramy dla nich cech materii bezwładnej, ciężkiej i tępej jak kamień, lecz też i — jak kamień — nieprzenikliwej. „Samodurstwo” żydowskie wytrąca żydom z rąk ich broń najgroźniejszą w walce z „narodami ziemi” — przewrotność i bezwzględność. Ponosi ich pycha. Jest to ich słabą stroną. Dla nas natomiast jest nieraz ostatnią szansą ratunku to, że pozwalamy się mieć żydom za urodzonych tępaków.

Na co spekulują żydzi, pouczając nas, co powinniśmy czynić, by nie paść pod naporem Germanów i ofiarowując nam swą „cenną” pomoc?

Wyrachowania żydów opierają się na ich wierze — niestety częstokroć uzasadnionej — w pewne rzeczywiste braki naszej psychiki, wśród których najważniejszemi są: 1) krótka pamięć, 2) niekonsekwencja pragnień, gotowość ubiegania się współcześnie o rzeczy wzajem się wykluczające,

Wskutek braku pamięci mogłoby się istotnie zdarzyć, że zapomnimy, iż — przed Hitlerem — żydostwo światowe szło ręka w rękę z Niemcami i gotowe im było „ustąpić” co najmniej tzw. korytarz pomorski za wzajemną rękojmię „nieagresji” w stosunku do żydów w Niemczech i ich monopolistycznej pozycji w Europie. Możliwe byłoby również z naszej strony zapomnienie o więcej niż niejasnej roli żydostwa polskiego w odrodzonem państwie polskiem. Wreszcie moglibyśmy zapomnieć o tem, co zrobili żydzi rosyjscy z Rosji — też przecie „słowiańskiej” — gdy przyszła na nią godzina klęski zewnętrznej i rewolucyjnych przeobrażeń wewnętrznych, co w danym razie ma dla nas znaczenie przykładowe i dydaktyczne.

Tak samo rzecz się ma z naszą rzeczywiście denerwującą nieraz niekonsekwencją. Np. zdarza sie często, że, spierając się o to, kto jest naszym „wrogiem nr I”, wymieniamy ich odrazu dwóch, trzech lub więcej, mimo że największy wróg z pośród wielu może być w danym okresie historii tylko jeden.

Reakcja narodowej opinii polskiej na oferty żydowskie w przedmiocie „dwuprzymierza” przeciwniemieckiego jest dość jednolita i stanowcza w odrzucaniu tych nieproszonych rad i tych świadczeń solidarności ze strony żydów i troski o byt narodu polskiego.

Nikt nie przeczy, że 3-a Rzesza — zwłaszcza po *Anschluss*'ie — jest wielką i groźną potęgą w Europie. Wszyscy też rozumiemy dobrze, że gdyby dalsza rozbudowa tej potęgi, polityczna i terytorialna, miała się odbywać według wzoru Prus i Hohenzollernowskiego cesarstwa przedwojennego, a więc w kierunku ziem polskich, na wschód — ku Rosji, nie zaś po linii rozwoju dawnego Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, to oczywiście los państwa polskiego — przy sojuszu Niemiec z Rosją — byłby nieomal przesądzony. Co najwyżej możnaby marzyć w tych okolicznościach w ratowaniu od zagłady narodowości i kultury polskiej, lecz nie więcej. Otóż właśnie, rozumiejąc to wszystko, dążyć powinniśmy do tego, by nie powtórzyła się, i nie mogła powtórzyć, historia sojuszu rosyjsko-pruskiego i by rzekomo nieunikniony niemiecki *„Drang nach Osten”* skierował się raczej na Bosfor-Bagdad, niż na Gdańsk, Kowno i Rygę. Jeszcze pomyślniejszem byłoby dla nas, gdyby zamiast roszczeń na wschodzie, Niemcy podjęły walkę o przyszłą spuściznę kolonialną po *British Empire*, do którego przecież w pierwszym rzędzie winny być zastosowane pesymistyczne wróżby upadku Europy Zachodniej (*„Der Untergang des Abendlandes”*).

Natomiast niesposób wymagać od Niemiec (72 miliony w sercu Europy!) by wyrzekły się wszelkiej ekspansji. Skoro więc ma być rozrost Niemiec i sfery ich interesów, to byle nie naszym kosztem. Oto jedynie słuszny i konsekwentny wniosek, jaki da się wyciągnąć z trzeźwej oceny sytuacji. Dalszy wniosek byłby ten, że wszelkiemu wzrostowi potęgi Niemiec powinien towarzyszyć równoległy wzrost potęgi Polski. Byłoby to najskuteczniejsze zabezpieczenie naszej niepodległości. Do tego wszystkiego jednak pomoc żydowska nie jest potrzebna.

„Zagadnieniem głównem” polityki polskiej w chwili obecnej powinno być zabezpieczenie państwa przed groźnym istotnie naporem fali germańskiej, wzbierającej na zachodzie, jednak nie przez pośpieszne sypanie tamy z lotnych piasków nadwiślańskich wspólnemi siłami Polaków i „braci Słowian” ze wschodu i z nad Wełtawy, a przy współudziale żydów, lecz przez odwrócenie łożyska i kierunku tego naporu germańskiego — przesunięcie zachodnio-wschodniej jego osi z północy ku południowi.

Przemawia za tem racja stanu i interes narodu, a również instynkt zbiorowości polskiej. Instynkty pewnych zbiorowości obcych w Polsce mogą oczywiście, a nawet muszą niejednokrotnie iść w innych kierunkach. Na to nie ma rady. Zwłaszcza gdy chodzi o żydów. My i oni bowiem — to dwa systemy interesów i dwie psychiki wzajemnie nieprzenikliwe, zasadniczo różne, obce i sobie przeciwstawne.

Porozumienie polsko-żydowskie może dotyczyć tylko i wyłącznie jednej sprawy: zasad i warunków *exodu* żydowskiego z Polski i rozumnej likwidacji żydowskiej hegemonii w naszem życiu gospodarczem.

OBSERWATOR

„MYŚL NARODOWA” jest wydawana kosztem prenumeratorów, prosimy więc Ich o nieodkładanie wpłaty, a zarazem aby propagowali pismo w kołach znajomych i przysyłali adresy tych osób, któreby mogły „MYŚL NARODOWĄ zaprenumerować.

Apelujemy też do wszystkich, którym na wydawnictwie zależy, aby pamiętali o konieczności zasilania FUNDUSZU PRASOWEGO „MYŚLI NARODOWEJ”.

LUDNOŚĆ NIEMIEC

PONIEWAŻ interesuje nas Polaków w najwyższym stopniu ewolucja polityki niemieckiej, więc bierzemy z ciekawością do ręki książkę *„La population allemande"*, której autorem jest Marcel Dutheil *(Payot, Paris)*.

Nie jest to zbiór suchych statystyk, cyfry są tu tylko podstawą do rozważań wniosków politycznych często bardzo daleko idących.

Ludność Niemiec powiększyła się bardzo znacznie w ciągu wieku XIX. Dość powiedzieć, iż w r. 1850 było ludności w Niemczech 36 milionów, a we Francji 35 milionów, w r. 1914 już było w Niemczech 68 milionów, a we Francji 41 milionów. Niemcy należały do liczby tych narodów w Europie, które posiadały stały i duży przyrost naturalny. Obecnie, w wieku XX zbliżają się do tych narodów zachodnio-europejskich, u których przyrost naturalny się utrzymał. To jest fakt nowy, na który z naciskiem zwraca uwagę p. Dutheil.

Naród mający dzisiaj przyrost naturalny, nie tylko ma tę przewagę, że jest liczny; ma w dodatku korzystną strukturę pod względem wieku — jest narodem młodym, Takim narodem w drugiej połowie wieku XIX i dziś jeszcze są Niemcy. Ot naprzykład w r. 1910 Niemcy posiadały 34% ludności poniżej lat 15, a Francja tylko 25%. Niemcy są narodem młodych, Francja narodem starych. Obok właściwości rasowych i politycznych wyrobionych przez wieki, wpływa skład ludności pod względem wieku bardzo wydatnie na psychikę i na siłę narodu.

P. Dutheil jest skłonny tłumaczyć wiele cech narodu niemieckiego jego „młodością", a także faktem, że jest to naród z przewagą proletariatu miejskiego. Niemcy są społeczeństwem „Stadnym", Francuzi indywidualistycznym. Jest to następstwo — powiada p. Dutheil — różnicy składu ludnościowego pod względem wieku. Agresywność polityczną, poddawanie się dyscyplinie partyjnej i narodowej, skłonności do ulegania wielkim prądom zbiorowym — wszystko to wynika zdaniem naszego autora z młodości narodu niemieckiego. Cały ruch ideologiczny i polityczny, znajdujący wyraz w narodowym nacjonalizmie płynie z tych samych źródeł. Stąd łatwy wniosek, że gdyby się zmieniła struktura ludności niemieckiej, to uległa by także zmianom psychika i polityka Rzeszy.

Takie wysunięcie na plan pierwszy jednego czynnika w życiu narodu wydaje się nam niekiedy nieco niebezpieczne, bo prowadzi do błędnych wniosków. Jednakowoż, jeśli wprowadzić do rozumowania nieco oględności i umiaru, to nie można nie uznać, że ilość ludności w państwie i jej struktura są bardzo poważnym czynnikiem psychicznym i politycznym.

Dlatego warto się bliżej przypatrzeć przeobrażeniom, jakie w tym zakresie odbywają się w Niemczech. Przytoczymy kilka cyfr dotyczących ilości urodzeń w Niemczech.

Ilość urodzeń w Niemczech w r. 1850 wynosiła około 1.200.000. W r. 1875 doszła do 1.600.000. Około r. 1900 przewyższyła 2 miliony. W r. 1914 było 1.800.000 urodzeń. Po wojnie we wszystkich krajach europejskich zmniejszyła się ilość urodzeń. To samo stało się w Niemczech.

W r. 1924	było tam	1.270.000 urodzeń
„ „ 1927	„ „	1.161.000 „
„ „ 1929	„ „	1.146.000 „
„ „ 1932	„ „	978.000 „
„ „ 1932	„ „	956.000 „

Od roku 1934 zaczyna się poprawa. W tym roku było 1.196.000 urodzeń, w następnym 1935 — 1.261.000.

Narodowi socjaliści przypisują to zjawisko poprawieniu się ogólnego położenia Niemiec pod rządami Hitlera. P. Dutheil sądzi, iż wyjaśnienie to nie jest całkowicie pozbawione podstawy. Dodaje jednak, że w latach 1934—1935 doszło do wieku męskiego i zawiera małżeństwa pokolenie urodzone w najlepszych latach przedwojennych pod względem ilości urodzeń. Nie przypuszcza przeto, by było to zjawisko stałe i wypowiada opinię, że ilość urodzeń w Niemczech będzie podobnie jak we Francji i Anglii, a dziś już nawet we Włoszech, stale się zmniejszała.

Przewidywali to statystycy niemieccy już dawniej. Wszak w r. 1930 ukazała się książka wybitnego specjalisty w tej dziedzinie, N. Burgdorfera pt. *„Volk ohne Jugend"*, zawierająca pesymistyczne przewidywania.

P. Dutheil sądzi, że ludność Niemiec będzie się zwiększała do r. 1945 i osiągnie wtedy (Niemcy bez Austrii) 67 milionów. Później nastąpi któtki okres stabilizacji, poczym rozpocznie się cofanie. W r. 1960 ludność Niemiec będzie wynosić 65 milionów, a pod koniec naszego wieku spadnie na 47 milionów.

Będzie nietylko mniej Niemców lecz skład ludności pod względem wieku ulegnie zasadniczej zmianie. Niemcy będą się stawały narodem, w którym odsetek ludzi starych będzie coraz większy — będą się starzały. To też pociągnie za sobą zmianę psychiki i struktury społecznej narodu niemieckiego. Będzie się on upodabniał do narodu francuskiego.

Będą tedy stopniowo—jak sądzi p. Dutheil—wygasały ogniska ruchu, jakiemi są narody „młode". Ludy europejskie będą się starzały, a przez to staną się zdolne do „konserwowania" starej cywilizacji europejskiej i do życia w stanie pokoju. Jest więc autor optymistą, jeśli chodzi o interesy Francji i powiada, że trzeba tylko przetrwać okres, w którym naród niemiecki przechodzi swój okres *„Drang und Sturm"*.

Nie jesteśmy przekonani po przeczytaniu książki, czy wszystkie wnioski jej autora są słuszne. To jednak wydaje się pewne, że przyrost naturalny ludności niemieckiej będzie się zmniejszał i że jednocześnie Niemcy będą się „starzały".

Dla sprawy współzawodnictwa między Polską a Niemcami na terenie Europy środkowo-zachodniej musi to mieć duże znaczenie. Sądzimy, że przejście Niemiec do rzędu tych narodów, które pod względem przyrostu ludności stanęły w miejscu, pomniejsza ich siłę biologiczną i jest jednym z tych czynników, których istnienie nakazuje sądzić że, aspiracje niemieckie do zapanowania nad Europą środkowo-wschodnią i do hegemonii w Europie nie są realne, że są oparte na złudzeniu.

STANISŁAW KOZICKI

IN RE I.

PRO DOMO

MOJA ocena książki pana J. Mosdorfa „Wczoraj i Jutro", na łamach „Myśli Narodowej" niedawno drukowana, wywołała odpowiedź autora, umieszczoną 15 maja t. r. w Nr 23 tygodnika „Prosto z mostu", a opatrzoną tytułem *„Mit Frau Mathilde Ludendorff"*. Przysługuje mi zwyczajowe prawo zabrania raz jeszcze głosu w tej sprawie, czego opóźnienie powstało z powodu niezależnych ode mnie ubocznych okoliczności życiowych.

Ze wspomnianego prawa skorzystam wyłącznie w celu sprowadzenia zbłąkanych czynników sporu do istoty rzeczy, a zarazem w celu usunięcia lub złagodzenia zgrzytów osobistych, z mojej winy do sprawy wprowadzonych. Ale i ta część osobista będzie napełniona treścią rzeczową, do rdzenia samej sprawy należącą. Tym sposobem czytelnicy nic na polemice naszej nie stracą. Zanim jednak do niej przystąpię, muszę następujące złożyć oświadczenie:

Ponieważ z odpowiedzi mojego przeciwnika możnaby wywnioskować, że byłem i jestem członkiem Narodowej Demokracji, obecnie Stronnictwa Narodowego, a osobiste moje, przez przeciwnika mojego wysunięte, poglądy mogłyby wtedy siłą rzeczy być przypisane Stronnictwu, przeto lojalność moja nakazuje mi zgodnie z prawdą ogłosić, że do Stronnictwa rzeczonego nigdy nie należałem i nie należę.

W swoim czasie (przed wojną światową) zacząłem pisywać do prasy Stronnictwa dlatego, że zapoznawszy się z jego ideologją, uznałem ja za pokrewną własnym swoim idejom i dążeniom narodowym. Że jednak nie czułem się wtedy (jak i do dnia dzisiejszego) ani politykiem, ani działaczem społecznym, ani mówcą, ani kimkolwiek dla stronnictwa politycznego przydatnym, więc obok swojej pracy zawodowej (w dziedzinie estetologji i krytyki artystycznej) z własnej woli pozostałem w prasie Stronnictwa tylko wolnym strzelcem idei i walki narodowej.

Dlaczego poza krytyką i filozofją sztuki prasa Stronnictwa drukowała moje szkice publicystyczne, czasem od jego zapatrywań zasadniczo odbiegające, tego nie wiem. Wiem tylko, że w żadnym innym obozie nie znalazłbym tak dużo swobody, ani takiego pola do wypowiedzenia się pisarskiego. A że niejednokrotnie w walkach prasowych nie tylko idei, ale samego nawet Stronnictwa zaciekłemi szarżami broniłem, więc musiało dokoła powstać o mnie przekonanie, że jestem zaprzysiężonym członkiem Stronnictwa. Tak jednak (powtarzam) nie jest i nie było, a wobec tego żadne poglądy moje Stronnictwa Narodowego nie obarczają.

Drugą sprawą bardzo osobistą (nie pozbawioną jednak społecznej roli przykładowej), sprawą, którą spieszno mi, niby zwał kamieni, z drogi usunąć, są owe „połajanki" moje, jak je p. Mosdorf nazywa. Właściwie mówiąc, w krytyce, o którą tu chodzi, ani jednej połajanki nie użyłem. Są tam tylko tu i ówdzie rozsiane słowa twarde i określenia ostre lub złośliwe, a miejscami ton gwałtowny i gniewny, Nie miałem też zamiaru, jak to mój przeciwnik przypuszcza, „miażdżyć" nimi osobę lub rzecz ocenianą, bo w pełni ufałem, że zarzuty moje rzeczowe są wystarczająco silne. Tem bardziej jednak wszystkie owe twardości, ostrości i gwałtowności moje były zbyteczne i tylko „niechęć budzące", jak to słusznie p. Mosdorf zauważa.

Nie będę z tych wybujałości nerwowych usprawiedliwiał się, bo osądzam twardo, że nie ma dla nich usprawiedliwienia. *Mea culpa*! Mam natomiast prawo objaśnić je psychologicznie, nie chcę bowiem uchodzić za neurastenika, który bez powodu, dla chorobliwego wybucha zadowolenia własnego. W tym otóż zakresie gruntem we mnie przygotowanym, na który padła książka p. Mosdorfa, było zadawnione, wysokiego napięcia rozdrażnienie, raz wraz i bez ustanku wywoływane tem wszystkiem złem, co w Polsce dzieje się od lat dwudziestu.

Skonfiskowano

Gdy zatem wpadła mi do ręki książka p. Mosdorfa, zaciekawiony równie autorem, jak tematem przeczytałem ją w nadziei, że znajdę w niej walkę „narodową i radykalną" ze złem tak dla przyszłości Polski niebezpiecznem. Ale znalazłem w niej pakty z patronatem zła, wykrzywienie prawdy historycznej, pokłon przed złowieszczą maską międzynarodówki, krzywdę ducha narodowego, odcięcie się od tradycji, poniżenie pokolenia przedwojennego, pychę przypisaną pokoleniu młodemu, a pozatem wiele błędów i nieprzemyśleń, wiele cudzych myśli, obcych naleciałości i mątów bierdiajewskich, co,

zresztą (w porównaniu z tamtemi cechami) spokoju krytyki nie zamąciło. Otóż ta wielka niewspółmierność pomiędzy tem, czego w książce oczekiwałem a tem, co w niej znalazłem, była iskrą, która wyładowała gromadzoną od lat reakcję nerwową.

Lecz gdy minęło wzburzenie, a pozostały po nim osady niesmaku z powodu nieopanowania nerwów, pojawiła się chęć wycofania i wyrównania krzywdy, którą przeciwnikowi wyrządziłem. Nie łatwy był wybór sposobu, w jaki należało to uczynić, aż tu nagle sam p. Mosdorf wyręcza mnie, a to we formie, której ze względu na jego stanowisko chrześcijańskie nie mogłem przewidzieć. W odpowiedzi swej, mianowicie, przeciwnik mój przybiera postawę czysto pogańską i odpłaca mi zemstą — pięknem za nadobne. Nie mogło być lepszego dla mnie zakończenia wszczętej przezemnie gorączki polemicznej! Gdyby nie owe kamienie ostre, które przeciwnik mój we mnie w odpowiedzi swej wymierzył, znacznie trudniej byłoby mi poradzić sobie z praktycznem w tej sprawie zadośćuczynieniem. Poniechanie zemsty (według nakazu apostoła Pawła) przez przeciwnika mego byłoby tu nasypaniem węgli rozżarzonych na moją głowę. A teraz dzięki pogaństwu p. Mosdorfa wszystko dla mnie zostało załatwione nad wyraz pomyślnie. Dlatego każdy kamień jego polemiczny, jako wyrównanie rachunku naszego, ze szczerem przyjmuję zadowoleniem.

Co zaś do treści, którą przeciwnik mój odpowiedź swoją wyposażył, to ma ona kilka punktów bezpośrednio dotyczących dzieła „Wczoraj i Jutro" (a pamiętajmy, że ono tu jest właściwym sporu przedmiotem), oraz jeden punkt główny, wypełniony atakiem na moje pogaństwo. Teraz, po usunięciu gruzu wycieczek osobistych, a także po obustronnem rzeczy oświetleniu, łatwo będzie i we mniejszych i w większych sprawach omawianych zaprowadzić ład i ustalić, czem one nie w pozorach są, ale w swojej istocie: *In re*. A zacznijmy od punktów pomniejszych, które dla oszczędności miejsca streszczać będę do granic ostatecznych.

1. Przedewszystkiem miło mi zaznaczyć, że na zarzut mój co do braku w książce „Wczoraj i Jutro" bliższego omówienia narodowej armji błękitnej we Francji, oraz co do przemilczenia walk Obozu Narodowego o utworzenie armji polskiej w Rosji przeciwnik mój z lojalnością, rzadko w polemikach spotykaną, uzupełnia w odpowiedzi książkę swoją krótkiem, ale mocnem i z prawdą zgodnem obu tych spraw oświetleniem.

2. Pogląd książki „Wczoraj i Jutro", że przyczyna polskiej niedołężnej polityki bałtyckiej leżała „raczej... w wyjątkowo łatwych warunkach życiowych szlachty" ówczesnej, nazwałem w krytyce swojej uleganiem doktrynie materjalizmu dziejowego. Na ten zarzut p. Mosdorf w tonie złośliwego tryumfu (co, jako jedną z monet należnej mi odpłaty osobistej, bez protestu przyjmuję) odpowiada mi pseudo-argumentem, że pogląd ten powtarza za Romanem Dmowskim. Odpowiadam na to, że autorytet nie jest argumentem, bowiem ten sam dany pogląd przez kogokolwiek wypowiedziany nie przestaje być tym samym poglądem. W poglądzie zaś tym widzę poważne uchybienie względem dwóch pewników:

Jeden (faktyczny) jest ten, że charakter reakcji duchowej zależy nie od p o w o d u tkwiącego w zjawisku zewnętrznym, ale od p r z y c z y n y tkwiącej w wartościach ducha. (Przykład jaskrawy: jeden człowiek przed groźbą ustępuje, a inny — z nią walczy). Dzieje się to, oczywiście, w pewnych granicach, ale tak rozległych, że wypadek, o który tu się spieramy, mieści się w nich całkowicie. Drugi pewnik (pragmatyczny) jest ten, że omijaniem prawdy możemy tylko usypiać naród, a prawdą jest, że główna wada, raz po raz na przestrzeni dziejów polskich ujawniana, leży w słabości woli.

Nie należy jednak wady tej na cały naród uogólniać, a wtedy zrozumiemy, że można się jej pozbyć, a to w oparciu o wiedzę, że w narodzie polskim mamy kilka składników antropologicznych, z których dwa, w ludzie polskim bardzo liczne, odznaczają się najcenniejszemi ducha zaletami. Lud ten dotychczas nie odgrywał roli historycznej, ale teraz, na szczęście, wejdzie na scenę dziejową. Co do przeszłości zaś należałoby zbadać jaki typ oligarchji rządził tłumem szlacheckim w ostatnich kilku stuleciach dawnej Rzeczypospolitej. (Włączywszy tu dawną asymilację żydów, a w szczególności potężny zastrzyk Frankistów). W każdym razie sprawę woli trzeba wziąć na warsztat rozważań naukowych oraz odpowiedniego szkolenia całego narodu polskiego.

Pogląd przez p. Mosdorfa autorytetami broniony, należy niewątpliwie do doktryny materjalizmu dziejowego. Okolicznością dla przeciwnika mego łagodzącą w tej sprawie jest fakt, że takim poszczególnym wpływom materjalizmu dziejowego ulega wielu pisarzów obozu narodowego, co oddawna zauważyłem i o czem zamierzałem osobną napisać rozprawkę.

3. Zarzut mój o uleganie materjalizmowi dziejowemu p. Mosdorf odwraca przeciwko mnie pod nazwą „grubego materjalizmu bijologicznego", co omówię jeszcze po punkcie dotyczącym mojego pogaństwa. Jako zaś przykład przytacza dawne słowa moje o idei nadczłowieka u Nietzschego, którą nazwałem „koniecznym i logicznym, w przyszłość rzuconym dalszym ciągiem teorji ewolucji życia organicznego na ziemi", co mój przeciwnik tak określa, że uniknąłem Marxa, lecz wpadłem w Darwina i Haeckla.

Dlaczego w Haeckla, a nie — naprzykład i bodaj — w Słowackiego?... który w „Genezis z Ducha" teorję rozwojową z wiarą chrześcijańską stopił, a którego i z Nietzschem wiele łączy pokrewieństw... Teorja rozwojowa życia organicznego, zapoczątkowana doświadczalnie przez Darwina, jest (tak samo jak teorja Kopernika) teorją ściśle naukową, a nie filozoficzną, więc może ją dla siebie (tak samo jak teorję Kopernika) wykorzystać równie dobrze skrajny materjalizm filozoficzny, jak i skrajny spirytualizm. Teorja ta (tak samo jak teorja Kopernika) sama przez się nie zaprzecza ani istnieniu Boga, ani prymatowi ducha w życiu, ani też dla ich przyjęcia żadnych przeszkód nie stwarza, a nawet przeciwnie — (tak samo jak teorja Kopernika) obojgu wielką daje i świetną (że tak to nazwę) scenerję świata widomego, co w swoim poemacie o geologicznym i bijologicznym ewolucjonizmie tak genjalnie zrozumiał

Słowacki. Nie od rzeczy może tu będzie i to wreszcie przypomnienie, że sam Darwin był przez całe życie swoje wierzącym chrześćjaninem.

Wobec tego wszystkiego sądzę, że zaliczenie ewolucjonizmu bijologicznego czy to do „grubego" materjalizmu z jakimkolwiek przymiotnikiem rzeczowym, czy też — do spirytualizmu, w naszym tu wypadku mogło być tylko sprawą złej lub dobrej woli mojego przeciwnika.

*

Omówienie pozostałych kilku punktów „pomniejszych" przekładam na miejsce dalsze, jaśniej przez mój pogląd zasadniczy oświetlone. A teraz przechodzę do głównego ataku mojego przeciwnika na moje pogaństwo.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

PSYCHOLOGICZNA POMYŁKA SOCJALIZMU

NIE jest po katolicku odtrącać nawracającego się, ale z drugiej strony nie jest zbyt roztropnie, gdy się zbyt szybko kogoś do swego grona wprowadza, o kim się jeszcze nie wie, czy ma zamiar przyjść do nas. Za takie właśnie zbyt szererokie otwarcie ramion uważam artykuł p. Jana Archity pt. „Socjalizm de Mana" w ostatnim numerze *„Pro Christo"*.

W kilku słowach streszczając zasadniczą myśl p. Archity, możnaby powiedzieć, że widzi on w socjaliźmie de Mana nową gałąź socjalizmu, zupełnie nie podobną, przeciwstawną nawet w niektórych punktach doktrynie Marksa, a żeglującą, choć z wieloma błędami w kierunku chrystianizmu. Autor przedstawia de Mana jako moralistę, który widzi w człowieku nietylko świadomość interesów, ale także świadomość etyczną i religijną i pokazuje nam go jako myśliciela, który nietylko wyzwala się z pod sugestii marksowej doktryny, ale uderza w jej podstawowe tezy, w zasadę walki klas i w kolektyw — aby je uznać za niezgodne z rzeczywistością i naturą ludzką.

Zachwyt p. Archity wydaje mi się zupełnie niezrozumiały i mocno przedwczesny. Przedewszystkiem dlatego, że nietylko jeden Man, ale cały socjalizm przekonał się, że jego doktryna jest ułomna ponieważ nie uwzględnia i nie oddziaływuje na całą osobowość człowieka. Odwołuje się bowiem tylko do interesu i rozumu, zaniedbuje stronę uczuciową, oraz to co nazwaćby można wiązaniem nadprzyrodzonym człowieka. „Reformistyczne" pomysły de Mana nie są niczym innym jak tylko próbą uzupełnienia doktryny socjalistycznej pierwiastkami emocjonalnymi, a nawet i religijno-moralnymi.

De Manem trzeba się zająć, ale nie dlatego, że odchodzi od socjalizmu, ale właśnie dlatego że on najszczerzej i najwyraźniej uzewnętrznia tendencje, które dziś w całym socjaliźmie nurtują. Jest on wprawdzie surowym krytykiem, który nie uznaje Marksa, określając go, jak również i innych wybitnych teoretyków socjalizmu, że są to inteligenci fabrykujący doktrynę dla proletariatu. Jest także reformatorem, który wzywa socjalistów do żarliwości religijnej (w sprawach partyjnych naturalnie), domaga się uwzględnienia pobudek moralnych w działaniu członków organizacji, marzy wreszcie o wychowaniu nowego typu socjalisty. Wszystko to jednak nie znaczy, że zrywa łączność ideową z międzynarodową organizacją socjalistyczną, że tworzy zupełnie odrębną swoją własną doktrynę.

Najlepiej niech nas o tem przekona sam autor „Psychologii socjalizmu". Przytoczę więc słowa z ostatniego rozdziału, który nosi znamienny tytuł „Credo"; pisze on tam:

„Domagam się umocnienia przekonania socjalistycznego przez świadomość etyczną i religijną. Nie trzeba dać się wprowadzić w błąd pozorowi, że wszelka działalność polityczna wydaje się być targiem o interesy. Poza tą rzeczywistością istnieje inna rzeczywistość, o wiele głębsza"...

Oto jest sens owej „minującej" socjalizm — teorii Mana. Masy chcą podniet wyobraźni i czucia, jednostka nie umie żyć i działać samym tylko przekonaniem o przeciwstawności interesów burżuazji i proletariatu. Trzeba więc dać masom religijną (eschatologiczną, jak to nazywa Man) wizję nowego socjalistycznego świata, trzeba oprzeć działalność jednostek nie tylko na poczuciu interesu, ale i na pobudkach moralnych.

Jak już wspomniałem na początku, rozszerzenie sfery oddziaływania socjalizmu na całą osobowość człowieka nie jest bynajmniej osobliwością „Psychologii socjalizmu", podobnie, choć nie tak bardzo w kierunku moralno-religijnym, ujmuje tę rzecz Leon Kruczkowski w broszurze p.t. „Dlaczego jestem socjalistą", w której cytuje Mana, a nawet przyjmuje jedną z jego zasad psychologicznych. Zastanawia się on tam nad motywami, które skłaniają ludzi do przynależenia do socjalizmu i dochodzi do wniosku, że są one trojakie:

„bo tak mi nakazują moje uczucia społeczne"
„dlatego, że rozumiem, że poznałem"...
„dlatego, że uświadamiam sobie mój interes".

Również, przypomniał sobie o uczuciach a nawet o etyce p. R. Jasiński w książeczce dla czerwonych harcerzy p. t. „Praca w gromadzie" pisząc:

„szlachetne uczucia i rozwinięty umysł doprowadzają czerwonego harcerza do walki o zmianę ustroju"

„...proletarjat musi bezwzględnie podnieść swój stan etyczny przed zmianą ustroju, jeżeli zmianę tą pragnie przeprowadzić"...

Porównajmy teraz co mówi Mann, Kruczkowski i Jasiński o roli uczucia etyki a nawet religii (w dość zresztą swoistym ujęciu) — z tym co twierdził Marks w manifeście komunistycznym:

„...prawa, moralność, religia są dla proletariusza tylko przesądami burżuazyjnemi, za któremi kryją się interery burżuazji"...

„...Wiedza o przeciwieństwie interesów gospodarczych daje początek działaniom społecznym"...

Oto źródło tragicznej dla socjalistów pomyłki psychologicznej. Marksowi się zdawało, że można porwać masy przemawiając tylko do rozumu i wskazując na dobry interes. Socjaliści dzisiejsi naprawiają ten błąd, ale nic ponadto. Doktryna pozostaje ta sama i cel ten sam — międzynarodowa społeczność bez Boga.

ZDZISŁAW WARDEJN

LISTY HENRYKA SIENKIEWICZA

DO J. W. MYSYROWICZÓW

Środa 13 sierpnia

I Szanowna Pani!

MŁODOŚĆ ma sama w sobie lekarstwa na wszystkie choroby, dlatego jestem prawie pewny, że pan Władysław wkrótce zupełnie przyjdzie do siebie, zwłaszcza, ze w domu otoczą go wygody i opieka, jakich w podróży zawsze brak. Zle zrobił, że zapadłszy tak ciężko, nie dał mi znać w jakikolwiek sposób. Jakkolwiek trudno mi jest zostawić żonę samą w dzisiejszym stanie jej zdrowia, byłbym go odwiedził i przynajmniej do przyjazdu Szanownej Pani wyszukał mu jaką opiekę między znajomemi Polakami.

Nie potrzebuję Pani zapewniać jak żywy budzi w nas interes zdrowie kochanego Pana Władysława, dla którego oboje z żoną powzięliśmy w San Remo szczerą i prawdziwą przyjaźń. Umiał on ją zresztą obudzić nietylko w nas, ale we wszystkich obecnych, którzy mieli sposobność poznać bliżej jego sympatyczny charakter i przymioty.

Będziemy Szanownej Pani najmocniej wdzięczni, jeśli Szanowna Pani na przyszłość zechce nas powiadomić o stanie jego zdrowia. Tymczasem, nie mogę dość usilnie polecić Sz. Państwu kefiru, jako środka odżywczego we wszelkich słabościach gardlanych, piersiowych — i w ogólnem osłabieniu organizmu. Jestto napój w rodzaju kumysu, o wiele jednak pożywniejszy, strawniejszy i silniejszy. Sam widziałem cudowne skutki na osobach do najwyższego stopnia wycieńczonych — i Chałubiński zaleca go wszystkim chorym. W Warszawie pierwszy lepszy lekarz wskaże aptekę, w której można dostać grzybków służących za podstawę fabrykacji, oraz przepisów, jak należy fabrykać [*sic*]. Pan Władysław powinien dochodzić do dwóch lub trzech butelek dziennie. Do takiej ilości dochodziła moja żona w największem osłabieniu i przy 40 stp. gorączki.

Mam nadzieję, że po dwóch tygodniach kefiru nie będziecie mogli poznać dzisiejszego chorego, bo jeśli nawet starsze osoby przychodzą do sił, cóż dopiero takie, które z natury rzeczy mają w sobie siłę młodości dążącą zawsze do przezwyciężenia choroby.

Należy tylko zabrać się jak najprędzej do działania z ufnością, że Bóg zmieni wszystko na lepsze.

Z tem serdecznem życzeniem kończę mój list, dziękując za wiadomość — i pozostaję wraz z żoną z uszanowaniem.

Henryk Sienkiewicz

[Na kopercie adres] *Ischl Osterreich*
Madame Hedvige de Mysyrowicz
Post Strasse N 14
[Pieczątka poczt.: *Reichenhal 11... 8...*
Ischl 14.8 — 6 — F 84]

Środa 13 sierpnia

II Kochany Panie Władysławie!

Bardzo ucieszyliśmy się oboje z żoną dobremi wiadomościami, które pan nam przysłałeś o swojem zdrowiu. Pozwolenie powrotu jest najlepszym dowodem, że zdrowie to polepszyło się na stałe. Myślę jednak, że dla wszelkiego bezpieczeństwa, nasi polscy doktorzy wyszlą pana na zimę do Włoch, — i że przyjdzie jeszcze Panu należeć czas jakiś do ptaków przelotnych razem z całem naszem towarzystwem z San Remo. Tymczasem oszczędzaj się Pan na wsi i koniecznie trzeba pić kefir. Żonę moją po chorobie przez długi czas ten tylko środek utrzymywał przy siłach i życiu, a znam wiele osób, które przyszły do sił, zdrowia, a nawet tuszy, tylko dzięki kefirowi. W Warszawie bardzo łatwo dostać grzybków, a na wsi jeszcze łatwiej fabrykować z dobrego mleka, lepszy napój od warszawskiego.

Dziękuję za łaskawą pańską gotowość załatwienia moich interesów w Warszawie, ale w tej chwili nie mam żadnych. Zresztą i sam już wkrótce powrócę do Warszawy. Postanowiliśmy z żoną udać się do Meranu, nie 15, ale 1-szego, przyszłego miesiąca; sam ją ulokuję, znajdę opiekę i wracam zaraz, żeby się zabrać do roboty.

Zdrowie jej polepsza się zwolna i byłoby już wcale nie źle, gdyby nie owo małe zapalenie, którego się nabawiła w Warszawie. Była to rzecz niby nic nie znacząca, ale ślady są dotąd. Pokazuje się jak niebezpiecznie jest wracać zbyt wcześnie, a zwłaszcza jak jeszcze niebezpieczniej uważać chwilowe polepszenie za stanowczy powrót do zdrowia — i narażać się przez nieuwagę. Z tego powodu nie puszczę jej przez zimę — a prawdopodobnie wyszlę z Meranu do San Remo, gdzie Mezani i Tymowski będą ją mieć w opiece. Zresztą będzie mogła zamieszkać z panią Walicką, jeśli nikt z krewnych nie wyjedzie.

Do Mezaniego jeszcze nie pisałem. Za powrotem porobię ogłoszenia i przeszlę mu odpowiednie numera. Zdaje się zresztą, że mu o nic więcej nie chodzi. Sam całą zimę zostanę w Warszawie.

Z Reichenhall dość jesteśmy kontenci. Powietrze tu jest nader łagodne — i co lepsze pogoda stała. Od czasu do czasu robię wycieczki dalsze piechotą. Byłem w Berchtesgaden i w Koenigsee: zajęło mi to cały dzień. Na dłużej nie mogę się oddalać, gdyż zdrowie żony mojej wymaga bardzo starannej i czujnej opieki. O zaziębieniu, przy nieuwadze, lub zmianie pogody zawsze łatwo. Szkaradny czas w Wiedniu pewnie nie mało przyczynił się do Pańskiej biedy; chwała Bogu, że się na lepsze obróciło.

Odwiedziłbym Pana Kochanego najchętniej, ale nie mogę żony zostawić samej tembardziej, że jest mocno podrażniona nerwowo; zwłaszczn w nocy boi się wszystkiego. Nie mogę nawet drzwi zamykać od swego pokoju, bo zaraz nie śpi. W Meranie także nie będzie mogła mieszkać sama.

Tymczasem ściskam Kochanego Pana i życzę najserdeczniej zupełnego wyzdrowienia. Żona zasyła ukłony. Trzymaj się dzielnie, panie Władysławie — i staraj się, żeby dzisiejsza niemoc stała się najwcześniej wspomnieniem.

Henryk Sienkiewicz

[Koperta] *Ischl Oesterreich*
Monsieur Ladislas de Mysyrowicz
Post Strasse N
[Pieczątka pocztowa nosi datę 84 r. 1884]

III Łaskawa Pani!

Dziękuję bardzo za uprzejmy list, a zarazem za zające i koziołka, które przyszły właśnie w ostatnie dni karnawału. Szczególniej jednak ucieszyła mnie nadzieja uczyniona mi w liście, że będę miał zaszczyt powitać Łaskawą Panią w moim domu, chociaż w ostatnim roku mego pobytu w Warszawie. Jeżeli zatem zdrowie Szanownej Pani nie stanie na przeszkodzie, czekam w niedzielę po pierwszej z małem śniadankiem na którem znajdzie Łaskawa Pani zwykłych uczestników polowań w Jej majątku. Tymczasem Panie moje przesełają Łaskawej Pani najuprzejmiejsze ukłony, ja zaś dziękuję raz jeszcze i załączam słowa wysokiego poważania i szacunku, wraz z pozdrowieniem i uściskiem dłoni dla mego gospodarza w Łosiu.

[Koperta] Henryk Sienkiewicz

Przez Piaseczno [Przekreślony napis rosyjski obcą ręką] Grojcy gmi. Wongrowo]
JWielmożna Pani J. Mysyrowiczową
[Piecz. poczt. rosyjs.] w Łosiu
[Grojcy]

IV Szanowny Panie!

Depeszę Pańską odebrałem w chwili wyjazdu z Kielc. Dziękuję za uprzejme zaproszenie i w dniu 3-ciem Listopada nie omieszkam stawić się o godzinie piątej w Piasecznie. Przyczem załączam wyrazy szczerego szacunku, wraz z ukłonami i słowami wysokiego poważania dla Czcigodnej Matki Pańskiej.

Henryk Sienkiewicz

30 października 1902 Warszawa, Hoża 22.

V Łaskawa Pani!

Dziękuję za przysłaną mi zwierzynę, jak również za wspaniałe polowanie i uprzejmą a tak miłą gościnność. Przy sposobności przesyłam zarazem dla obojga Szanownych Państwa życzenia najlepszego zdrowia oraz wyrazy głębokiego poważania i szacunku.

[Koperta] Henryk Sienkiewicz

3.X Warszawa Wspólna 24

JWielmożna Pani i J. Mysyrowiczowa
w Łosiu

— — — — — — — — — — — —

Przytoczone powyżej listy znajdują się w zbiorach Sędziego Aleksandra Mysyrowicza w Falenicach między Grójcem a Kielcami. Adresatami są: ś. p. Jadwiga Mysyrowiczowa, właścicielka majątku Łoś koło Grójca, oraz jej syn, p. Władysław Mysyrowicz.

Przyjaźń Sienkiewicza z rodziną pp. Mysyrowiczów trwała długie lata. Nie umiem podać początkowej daty ich wzajemnej znajomości w każdym razie sięga ona conajmniej lat 1979 — 1880, gdyż już wtedy Sienkiewicz zamiesza w „Gazecie Polskiej" wzmianki o koniach Mysyrowicza, stających do wyścigów.

Jak widać z listów powyższych, jednym z ważnych powodów zadzierzgnięcia się przyjaźni był wspólny pobyt na kuracji w San Remo. Zachowała się z tego czasu wspólna fotografia Sienkiewicza z żoną i pp. Mysyrowiczami oraz jeszcze kilkoma kuracjuszami Polakami. Jeden egzemplarz tej fotografii jest w zbiorach p. Aleksandra Mysyrowicza, drugi zaś w moich zbiorach.

Pobyt w San Remo, przypadający na czas, gdy Sienkiewicz pisał „Potop", nie przyniósł spodziewanego polepszenia p. Marii Sienkiewiczowej, która niebawem zmarła przedwcześnie... Ta choroba i zgon ukochanej małżonki były dla Sienkiewicza momentem przełomowym w życiu. Zbudziły w nim żarliwą religijność, którą tchną najwspanialsze rozdziały „Potopu", naówczas właśnie powstałe

Ostatnie trzy listy są o kilkanaście lat późniejsze: pochodzą z tego czasu, gdy Sienkiewicz jako *„possessionatus"* zamieszkał w Oblęgorku koło Kielc, niedalego od majątku pp. Mysyrowiczów. Ukazują nam one Sienkiewicza z innej strony: jako myśliwca. Rzucone w nich wzmianki uzupełniają te wiadomości o Sienkiewiczu myśliwym, jakie znaliśmy dotąd czy z książek Laskowskiego, czy z pamiętników E. Krasińskiego, czy wreszcie ze „Szkiców amerykańskich" i „Listów z Afryki" samego Sienkiewicza.

Pisownię listów pozostawiam według oryginałów, z charakterystycznym é „kreskowanym", z opuszczeniem przecinków nad literami i między zdaniami. Za łaskawe udostępnienie mi rękopisów, składam najserdeczniejsze podziękowanie p. Sędziemu Mysorowiczowi.

JÓZEF BIRKENMAJER

ARBITRAŻE LITERACKIE ŻYDÓW

W „PROSTO Z MOSTU" rozprawia się p. St. Piasecki z p. Frydem, który odmawia talentu W. Bąkowi i stara się przy sposobności obniżyć wielkość Kasprowicza, wywindowanego „rzekomo z wstrząsowo-bebechowych" jedynie przyczyn na piedestał. Ma rację Piasecki, ale zdaniem mojem sprawę tę należy załatwić krócej, a zasadniczo.

Miarą wielkości artysty nie jest oczywiście wielkość jego jako człowieka i głębokość jego myśli czy szlachetność uczuć, — ale stopień takiego opanowania formy wyrazu, aby zdolna była ona tę uczuciową stronę jego duszy uzewnętrznić i wzbudzić drogą wrażenia estetycznego współdźwięczne uczucia własne widza-słuchacza, współczucie zatem z artystą, a conajmniej efektywne zrozumienie. Odnosi się to zarówno do uczuć o charakterze „fabularnym", ideowym, jak do wrażeń czysto zmysłowych, np. wzrokowych. W każdym razie zadaniem dzieła sztuki jest działanie na czynniki podświadome apercepcyj, a więc nawet dążenia do ukazania względnego piękna idei drogą pozaintellektualną. Bo „nie sztuka" jest komuś swoją rację wytłómaczyć jeśli się ma argumenta, jeśli się umie logicznie gadać, a tamten logicznie myśleć, — ale na tem „sztuka" by ko-

goś o swojej wewnętrznej prawdzie przekonać, jeśli już nie o jego własnej, — bez żadnych argumentów.

Są artyści którzy świetnie „przekonują“ o rzeczach błachych, innych nie mając do powiedzenia, i są tacy, których wewnętrzna treść wielka i przemożna ciężko boryka się z formą. Gdyby taką treść mieli do wypowiedzenia ci pierwsi „zdolni“ i błyskotliwi, niewiadomo czyby sobie z nią dali radę, czy też wyrośliby na olbrzymów twórczości... Bardzo pan ładnie haftujesz, niewiadomo cobyś zrobił, gdyby ci przyszło zbudować kościół...

Ale jest jeszcze druga strona medalu: Jeżeli możemy zgodzić się na to, że miara wielkości jest bezwzględna, — to nie możemy mieć dwu zdań co do faktu, że kryterium jej bezwzględne jest trudne nawet pośród różnego typu jednostek, a zupełnie ograniczone środowiskiem, wszystko jedno: mniejszem czy większem. Najpiękniejszy poemat wypowiedziany w języku niezrozumiałym, będzie „tureckiem kazaniem“ dla słuchaczy.

Sztuka ma charakter „wszechludzki“ o tyle, o ile może przesiąkać współdźwięcznemi stycznemi do szerszych warstw i kręgów poza własną grupę historyczną, etniczną, ideową, czy choćby temperamentową, — ale w pełni zrozumiałą — i to im więcej ma charakteru danej grupy — może być tylko dla swoich, — katolicka dla katolików, w drugim rzędzie zaś dla ludzi o psychice pokrewnej etyce chrześcijańskiej, — narodowa dla Polaków bezpośrednio i subjektywnie, pośrednio zaś i niejako objektywnie dla nacjonalistów obcych narodowości, — itp. Im dalej jest ktoś wewnętrznem swojem nastawieniem od środowiska, które zrodziło daną sztukę, tem trudniej będzie mu tę sztukę wogóle zrozumieć. Jeśli bowiem ktoś o pewnych poczuciach czy wrażeniach wcale nie ma pojęcia, to jakże może ocenić, czy poeta wyraził je właściwie, prawdziwie i bezpośrednio, czyli że i w jakim stopniu zadanie dzieła sztuki zostało wypełnione, a cel osiągnięty lub przybliżony? — Pozostałby mu tylko bardzo mizerny zakres czysto zmysłowych, nietylko „wszechludzkich”, ale może i „wszechzwierzęcych“ wspólnot do zrozumienia i oceny. Sztuka ma za obowiązek wyrażanie pełni duszy ludzkiej w sposób sobie tylko właściwy, a dusza ta składa się nierozdzielnie i nierozgraniczalnie z kompleksów moralnych i zmysłowych.

Z tego wynika że żydzi nietylko z nami jako Polakami i katolikami, ale z żadnym podobnym naszemu narodem nie mający psychicznie nic wspólnego, nie mają żadnego prawa i żadnej możności krytyki artystycznej naszej literatury. Dość nas już w tym kierunku dezorientował Feldman. Uzurpując sobie to prawo, podchwytują skwapliwie i propagują wszelkie zasady bezideowości i beztreściowości w sztuce, fałszując apostolskie jej znaczenie hasłami estetycznego internacjonału. To już nietylko daje łatwiejsze pole do ich arbitrażów, ale schodzi się z drogami ich dążeń i mąceń politycznych. Dlatego taki pan Fryde jeden z drugim może sobie „sądzić”, że Kasprowicz tylko za „bebechowatość“ został wielkim poetą. Jestto tak samo jakby powiedział: Został wielkim dlatego tylko, bo mówił po hiszpańsku, ale co mówił tego krytyk rozumieć nie potrzebuje. Sąd łatwy, bo na uczuciowe momenta nie trzeba argumentów. Fryde twierdzi... że Bąk nie ma talentu. Dlaczego? Bo Fryde tego wszystkiego nie czuje, — właśnie tego, co jest, jak sam stwierdza, główną charakterystyką Bąka. — No to moje uszanowanie z panem, panie Fryde...

PIOTR PONISZ

Z HORACEGO

CARPE DIEM!

Leukonojo! Nie pytaj
(wiedzieć nie wolno!):
jaki to życia ciąg
przeznaczyli bogowie
nam tu obojgu!
ani wróżbiarskich ksiąg
nie zasięgaj porady!
Lepiej z uśmiechem
wszelką niedolę znieść!

Czy to lat jeszcze wiele,
czy też ostatnią
zimę nam Jowisz dał,
co na morzu Tyreńskiem
z hukiem rozbija
fale o złomy skał,
ty bądź zawsze rozsądna:
wina nie żałuj!

Długich nadziei treść
przetnij — życia krótkością!
Ot, gdy to mówię,
chwila za chwilą mknie!

Dzień ten zrywaj, jak kwiecie!
Nie wierz ni trochę
w przyszłe nieznane dnie!

NUNC EST BIBENDUM!

Dziś pić się godzi! Dzisiaj, druhowie, czas,
by wolną stopą w ziemię uderzyć wraz!
Dziś kwiat przystrójcie, winem spłóczcie
bogów ołtarze w salijskiej uczcie!

Wpierw było zbrodnią — wina dobywać dzban
z ojcowskich piwnic!... Straszny powzięła plan
królowa obca rozszalała:
zniszczyć Kapitol i kraj nasz chciała!

Rozpustnych mężczyzn wiodąc plugawy rój,
jak złą zarazę, — hardo spieszyła w bój,
pijana dumą — i Fortuną,
pewna, że wszyscy do stóp jej runą!

Lecz pycha prysła, zgasła szaleńcza chuć,
gdy cało z wojny wyszła — jedyna łódź!
A trwoga w dal ją chyżo niosła,
bo oto Cezar uderzył w wiosła

i od Italii rączo ją ścigał tak,
jak gołębice ściga drapieżny ptak,
lub jak śród śnieżnych Hemonii
sprawny myśliwiec szaraki goni!

W kajdany zakuć wiedźmę złowrogą chciał;
lecz ona w zgonie większych szukając chwał,
przed mieczem — trwogi nie uznaje,
ani nie zbiegła w odludne kraje!

Patrzyła mężnie — obca niewieścim łzom —
jak w gruzy padał złoty królewski dom;
ująwszy dłońmi srogie żmije,
łonem swem czarną truciznę pije...

I dumna była śmiercią — i pełnią praw:
iż jej — swobodniej — żadna już z rzymskich naw
nie weźmie branką... i jej imię
zdobić tryumfu nie będzie w Rzymie!

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER

NA WIDOWNI

Tajemnica Reymonta jako epika. — Jak to było przed zakładem pogrzebowym. — Reymont w biegunach życia i śmierci. — Zmysł życia jest decydujący dla poety. — Zalety monografii prof. Krzyżanowskiego. — Moje uzupełnienia.

PRZECZYTAŁEM niedawno doskonałą książkę o Władysławie Reymoncie, napisaną przez profesora Uniwertytetu Warszawskiego Juliana Krzyżanowskiego. Recenzję tej książki, pióra J. Świerzowicza, zamieściliśmy w nr. 9, więc miałbym prawo tylko jakby na marginesie zwrócić uwagę na jakiś punkt nie dość w książce i w sprawozdaniu uwzględniony.

Właśnie gdy myśl na ten margines zeszła, stanął mi w oczach żywy Reymont. Cóż może lepiej uzupełnić wywody o czyichś dziełach, jak nie sam tych dzieł autor?

Było to chyba w r. 1898, a więc czterdzieści lat temu; — w naszem kółku literackiem, zbliżonem do „Głosu", ustalił się zwyczaj codziennych schadzek na czarnej kawie poobiedniej. Zbieraliśmy się u Loursa na Marszałkowskiej (między Świętokrzyską i Sienną). Grono bywało liczne, przychodzili: Andrzej Niemojewski (ten mówił najwięcej), Żeromski, Reymont, Jabłonowski, Antoni Lange, Tadeusz Jaroszyński (malarz, krytyk), Koskowski Bol., Jan Lemański, Marian Masonius, Edward Strumpf i inni. Razu pewnego jakiś dyskurs filozoficzny o życiu przerwał Reymont swoją ilustracją — lubiliśmy słuchać, gdy zamiast wywodu rzucał obraz. Co to mu się zdarzyło: oto przed wystawą sklepu z trumnami wpatrzony w blaszane ich ozdoby podrygiwał ulicznik coś przyśpiewując. Zaintrygował wszystko widzącego Reymonta ten dziwny humor. Obdartus zamyślony w rytm „Oj-ra" polki skocznie podśpiewywał:

Pan Pełczyński robi trumnę,
A ja jemu g.... umrę...

Reymont był oczarowany. Bo czyż można lepiej schwytać życie na gorącym uczynku! Cieszyło go oczywiście owo g...., używane przez mazurów jako wyraz dobitnie zaprzeczny (była na ten temat potem dyskusja), ale ta pyszna szekspirowska rozgrywka między chęcią życia a widmem śmierci!

Cóż mu znowu tak dobrego daje nędzne życie, a pomimo to chłopiec, hipnytyzowany połyskiem trumien czy naiwnym krojem blaszanych aniołków, drwi sobie ze śmierci. Chłopca tego odnalazł Reymont w centralnym punkcie zagadnienia życia i śmierci, które było podstawą wyobraźni twórczej tego pisarza. Najpierwotniejsza orientacja instynktu — życie i śmierć, dochodząca w świeżej kulturze genialnego młodzieńca do uświadomienia swej tragiczności, dała jego talentowi szerokie pole pościgu za prawdą życia. Schwytać artystycznie tu prawdę w różnorodnych pojawach, w coraz szerszym zasięgu — oto ambicja tego artysty.

Uprzytomnijmy sobie we wszystkich utworach Reymonta, ile razy postaciował tragiczność życia w obrazach śmierci, począwszy od pierwszej noweli (w „Głosie") p. t. „Śmierć" — do sceny śmierci Boryny, uprzytomnijmy sobie obrazy, gdzie życie bujne żądzą lub radością dochodzi do apoteozy symbolicznej — wszędzie ta sama pogoń za tajemnicą życia.

Powiadają: miał dar spostrzegawczy, co widział, to chwytał — ot i wszystko. Więc to dobry wzrok był jego siłą? Bynajmniej, był to krótkowidz, nosił szkła na nosie, oczy mrużył. Trzeba pytać, czego s z u k a ł, co było siłą organizatorską jego postrzeżeń. Jedyna odpowiedź: niesłychanie wrażliwy poetycki zmysł życiowy.

Reymont ubiegał się za pojawami, o ile z nich mógł wyczytać sens życia. To była jego praca umysłowa. Nie był to człowiek uczony. Za długo byłoby mu szukać wskazówek co do sensu życia w książkach. Poddawał się wskazówkom środowiska, szukał towarzystwa ludzi inteligentnych, chwytał w lot drgnienia ducha czasu, dawał posłuch programom najbliższym prawdzie życia (narodowym) — i tu pomocny mu był instynkt życiowy. Odwracał się od doktryny, szedł za wskazaniem dróg żywych, wiążących pokolenia, gdzie od mogiły zaczyna się nowe życie.

Ten zmysł, jakby węch poetycki, pozwolił mu rzucać się w życie w różnych poziomach. Wystarczyła drobna wskazówka co do zasadniczego sensu danej dziedziny życia, aby z materiału po drodze zebranego zbudować mógł wspaniały obraz, w jednolitem oświetleniu, w doskonałej konstrukcji.

Przytoczę dla przykładu „Ziemię obiecaną", ową fabryczną Łódź, powieść podziwu godną dla konstrukcji i umiejętności zgromadzenia w krótkim czasie wielkiego materiału. Rzecz tłumaczy się tem, że Reymont zawierzył się w Łodzi ludziom myślącym i znającym teren. Taki dyrektor J. Lipkowski (u Scheiblera), u którego zamieszkał, taki Karol Raczkowski, z którym się przyjaźnił — byli mu pomocni jako przewodnicy. Obaj demokraci, ale z polotem myślenia narodowego ideowi ludzie, a przytem znakomici fachowcy wyłożyli mu życie łódzkie pod kątem sensu dziejowego skomplikowanych procesów technicznych, gospodarczych i społecznych.

Jakże genialny zrobił z tej nauki użytek! Ale nie zrobiłby go, gdyby nie wrodzony zmysł życia.

— — — — — — — — — — — —

Monografia o Reymoncie prof. Juliana Krzyżanowskiego [1]) wywołała w świecie literackim wielkie zainteresowanie. Każdy krytyk literacki ma o niej coś do powiedzenia. I dobrze będzie, jeśli ta praca monograficzna, a przy tej sposobności i postać samego Reymonta znajdą wielokrotne oświetlenie.

Pierwszy dla autora książki poklask — to podziw z powodu rzutkości i wszechstronności jego umysłu, że chciał i zdołał, jednocześnie z najmozolniejszą pracą nad literaturą dawną, uporać się z takiem zagadnieniem nowoczesności, jak Reymont. Podziw i uznanie tem większe, że Reymont z natury swego talentu jest obiektem dla monografisty bardzo trudnym. Najtrudniej jest pisać o twórcach eposu, dzieło ich bowiem przedmiotowością swoją zprzed oczu czytelnika usuwa autora, ginie w nich pierwiastek osobisty. Może dlatego

[1]) Julian Krzyżanowski: „Władysław St. Reymont. Twórca i dzieło". Lwów 1937. Zakład Narod. im. Ossolińskich. Str. 212.

dawne epopeje są bez nazwiska, a postać Homera należy do mitów. Ileż łatwiej pisać np. o Żeromskim, który się w liryzmie swoim odsłania i widny jest na każdym kroku. Tem się tłumaczy, że tak skąpa jest dotąd literatura o Reymoncie.

Wiem po sobie, jak bardzo onieśmiela krytyka myśl, że dla odnalezienia Reymonta w dziełach trzeba je wszystkie na świeżo przeczytać w chronologicznym porządku, przeżyć z nim wszystkie światy, które on tak jasnowidząco przeniknął i to wszystko na to, aby powiedzieć: wielki pisarz.

Prof. Krzyżanowski był do tej pracy jak najbardziej powołany jako krytyk wykształcony specjalnie w zakresie dziejów twórczości powieściowej. Czytając Reymonta, widzi na rzut oka jego miejsce między największymi narratorami świata od czasów Hezjoda, każdy Reymontowy wątek i motyw jawi mu się w skali porównawczej i pozwala podziwiać siłę talentu pisarza, który przecież studiów literackich nie odbywał i wszystko zawdzięcza głównie sekretowi swego naturalnego geniuszu.

Książkę prof. Krzyżanowskiego czytamy z wielką satysfakcją, każde bowiem jego spostrzeżenie, każde stwierdzenie ze strony znawcy tak kompetentnego niepospolitych wartości artystycznych Reymonta porządkuje nam w głowie to, co rozumieliśmy niejasno pod natłokiem wzruszeń i wyobrażeń przy dorywczem czytaniu wspaniałych epopei.

Autor po dokładnej analizie dzieł doszedł do końcowego wniosku, że Reymont „należy do wielkich klasyków prozy”. Jako epik umiał połączyć harmonijnie dostojną formę z dostojną treścią, w której zawarł wielkie problemy życia jednostkowego i zbiorowego... „Walki jednostek i grup, ich klęski i zwycięstwa ukazał z żywiołowym rozmachem w doskonałej szacie słowa. A takie właśnie problemy, związane ze środowiskiem wsi czy miasta, ale zarazem ujęte *sub specie aeterni*, jako zmaganie się wiecznie żywych sił, zaklętych w duszy ludzkiej, w układzie społecznym czy w stosunku człowieka do przyrody ...decydują o wielkości dorobku pisarskiego Reymonta”.

— — — — — — — — — — — —

Zupełnie słusznie. Ale tutai muszę zrobić uwagę, dotyczącą struktury monografii. Jak głosi tytuł, miała ona objąć syntetycznie „twórcę i dzieło”. Zapytuję siebie samego, skąd pochodzi moje wrażenie, że nie czuć w dziele prof. Krzyżanowskiego dostatecznego związku między charakterystyką twórcy a powyższym wnioskiem ogólnym, dotyczącym jego dzieł?

Tłumaczę sobie ten brak spójności tem, że autor, jako człowiek „książkowy” bez dostatecznego zainteresowania traktuje psychologię. W charakterystyce osobistości autor zrobił silny nacisk na prymitywność myśli Reymonta, jako półinteligenta, nie mającego systematycznej edukacji. „Idea jako tworzywo literackie dla Reymonta nie istnieje”, „skomplikowane procesy intelektualne były mu obce”. Według autora Reymont siłę twórczą zawdzięczał doskonałemu uposażeniu od natury dka i ucha. „Reymonta mimo pokrewieństwa z impresjonistami zestawić by należało raczej z fotografem artystą, który od nieartysty tem się różni, że umie dobrać takie miejsce i światło, by otrzymane zdjęcie miało pewną, gotową strukturę”...

Prof. Krzyżanowski zdaje sobie sprawę, że jednak „oko i ucho” nie starczą za wytłumaczenie niezwykłego zjawiska twórczego; odpowiedź na to pytanie — według autora — „jest zdaniem, którego rozwiązać dzisiaj jeszcze w całej pełni nie potrafimy”.

Powiedziałbym więcej: tajemnicy geniuszu „w całej pełni” nikt nie wyjaśni w żadnym wypadku, chodzi jednak o to, aby dobrze zbadać przynajmniej typowość zjawiska psychicznego z dotarciem do podstaw. Za punkt wyjścia w badaniu natchnień artystycznych nie można brać zmysłów zewnętrznych. One są tylko narzędziami, dostarczającemi farb do palety. Szukać trzeba wpierw — mojem zdaniem — jaki jest rodzaj energii psychicznej i jaka jej moc, bo twórczości pierwszym warunkiem jest obecność tej energii bądź żywiołowej, bądź w postaci woli tworzenia.

Reymont, jak już zgóry zaznaczyłem, jest niezwykłem zjawiskiem geniuszu tej najbardziej elementarnej energii, jaka daje człowiekowi czucie życia i rozwijające się z tego czucia przez uświadomienie uczucie życiowe. To, co nazywamy instynktem życia, wspólne jest wszystkiemu stworzeniu; ale gdy ten instynkt staje się świadomością istnienia — to mamy już do czynienia z człowiekiem; a gdy ta świadumość zabarwi i zorganizuje koło siebie wszystkie uczucia z tego pierwotnego instynktu wylęgłe, wtedy któż może nakreślić granice myobraźni człowieka? Tu jest początek t. zw. „urodzonych poetów”.

W podstawie takiego splotu psychicznego znajdą się żywe uczucia rozkoszy istnienia lub bólu, radość życia i strach śmierci, a w związku z tem uczucia stające się wolą, jak żądza życia jak najpełniejszego, ciekawość poznawania życia.

Wszystko to ma swój odpowiednik w wyobraźni. W jednostce, dobre uposażonej w ten instynkt życiowy a wrażliwej na bodźce zewnętrzne, cały ten zespół uczuć i wyobrażeń gra oddźwiękami za byle dotknięciem ze świata przez zmysły zewnętrzne (oko, ucho, węch, smak, dotyk) i budzi w duszy obrazy. Tu rodzi się poeta i artysta, bo te obrazy w jednostkach wyjątkowo usposobionych są tak natarczywe, że domagają się utrwalenia.

„Oko i ucho” — to tylko straże przednie, wysłanki w świat (oczywiście w tego typu naturach bardzo precyzyjne). Tu jest Reymont, tutaj do niego klucz. Reymont, brat rodzony Kasprowicza, geniusz twórczości typu ludowego. Bo czymże cenna duchowość ludu, jeśli nie tym najgłębszym zmysłem bezpośredniego zaglądania w oczy życiu?

To jest tak centralny i zasadniczy zmysł, że zbrojnego nim umysłu nie można nazwać, nawet przy braku edukacji, analfabetą. Reymontowi wystarczyło palec podać, aby szczeblował w sfery górnej inteligencji. On właściwie nie chciał się „uczyć”, bo czuł że w tej pierwotności widzeń jest jego siła. Brał tyle, ile mu potrzeba było do techniki tworzenia. I to mu wystarczyło na wielkość.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NIEDOMAGANIA DEMOKRACJI

PISMO „upartych demokratów” „Czarno na białem” w artykule autora pierwszej broszury o zamachu majowym Januarego Grzędzińskiego, zastanawia się „dlaczego demokracja czeka”, zwłaszcza iż — według oczywiście słów artykułu—stanowi ona w Polsce siłę ogromną, przeważającą.

Błąd tkwi odrazu u początków rozumowania—demokracja a masy to nie wszystko jedno. Demokracja jest terminem na oznaczenie pewnego gatunku ustroju, nie jest nawet organizacją mas—przykładem Niemcy, Włochy, Rosja Sowiecka. Ale przyjmijmy sposób myślenia p. Januarego Grzędzińskiego. Do jakich wniosków wreszcie dochodzi?

Stwierdzenie:

Partie demokratyczne, które odmówiły wejścia w ślepy zaułek dekoracyjnego Sejmu i zbojkotowały wybory, przyjęły na siebie obowiązek walki o postulaty demokracji środkami poza parlamentarnemi.

Rozważanie wraz z wnioskami:

Do tego potrzebna jest przede wszystkiem umiejętna, zimna analiza środków i metod walki — a potem umiejętna i sprawna koordynacja tych środków, organizacja wspólnego wysiłku wspólnemi metodami, albo metodami właściwemi, dla każdej grupy odrębnemi. Zanim to nie nastąpi, „wyciągnięta dłoń” będzie „zawieszoną w powietrzu...”

Zachodzi tu wielka trudność psychiczna. Niema ludzi uniwersalnych. Upadek wielkich partii robotniczych, stanowiących wielomilionowe nieraz siły w chwilach, gdy odebrano im możność walki parlamentarnej, przez kartkę wyborczą, przez zwykłe głosowanie, przez rozwielmożnione metody t. zw. „chadatajstwa”, t. j. zabiegów o poprawę sytuacji po przedpokojach ministrów, pochodzi głównie z załamania się na psychicznej zwrotnicy. Świetni parlamentarni przywódcy okazali się bezradnymi inwalidami, gdy im odebrano trybuny sejmowe, zwłaszcza że i wiek osłabiał im tempo. Zabrakło demokracji wielkich „kapitanów”.

Otóż tu jest bodaj pięta Achillesowa naszej demokracji. Odczuwa się to inwalidztwo psychiczne na całym froncie — mniej znacznie na odcinku chłopskim, gdzie kierownicy, wodzowie, wybierani z dołu zmieniają się, jeśli masom się wydają nie dość prężnymi, więcej zaś na odcinku robotniczym, przywiązanym do swych tradycyj, do swoich zasłużonych ludzi, do weteranów najpiękniejszych lat.

Dla tego wszystkiego wielka armia demokracji czeka..

Ale musi pomiętać, że bierność nie jest wcale tarczą i że nie tylko nie zapewni zwycięstwa, ale i nie obroni.

Ocena trafna. Tragizm sytuacji polega na tem, że „wielka armia” nie doczeka się już „wielkich kapitanów”, którzy by byli zdolni poprowadzić ją ku zwycięstwu środkami pozaparlamentarnemi, a parlament w Polsce nie ma wcale zamiaru wyjść poza charakter „demokracyjnego Sejmu”.

Dlaczego?

Bo czasy „wiosny ludów” minęły. Minęły czasy, kiedy to walczono o równość i o decydowanie we wszystkich sprawach mechaniczną większością. Dzisiaj na czele Grzędzińskiego „demokracji” stoją ludzie, którzy przyzwyczajeni byli do montowania owych większości, których miejscem narad sztabu stanowiły kuluary, a miejscem walki parlament. Jakże trudno z kuluarów zejść na barykady! W pogoni za fikcją życia politycznego ludzie czepiają się stolika kawiarnianego, a w t. zw. „terenie” jałowych rozruchów i manifestacji, które bliższe są pojęciu anarchii, aniżeli rewolucji.

Człowieka zdolnego do działania środkami pozaparlamentarnemi trzeba wychować, ale nie dokona tego demokracja.

I tu znowu: dlaczego?

Bo przestała być ideałem, dla którego życie warto poświęcić, bo nie posiada cech duchowej rewolucji, ale wszelkie cechy duchowej reakcji, bo zakończyła swój żywot kompromitacją. Kompromitacja polegała przedewszystkiem na tem, iż okresem swojego panowania udowodniła, iż stanowi fikcję. Iż nigdy poza granicę fikcji wyjść nie potrafi.

Tak jest. „Odczuwa się inwalidztwo psychiczne na całem froncie”, odczuwa się też i „weterań若stwo”, bo czymże jest owo przywiązanie „...do swych tradycji, do swoich zasłużonych ludzi, do weteranów najpiękniejszych lat?”

Tym z pod znaku p. Januarowej demokracji pozostaje dzisiaj, albo jej potępienie — jeśli się zdecyduje na pozostawanie jej w szeregach panującego obecnie *regime*'u, albo biadanie i udowadnianie swej bezsiły „czarno na białem”. Dodajmy jeszcze dla jednych i drugich wspominki dni młodych, a będziemy mieli całość obrazu.

Organizacją mas (nie w duchu, bynajmniej żadnej demokracji) zajmują się dzisiaj ludzie typu nie przywykłego do kuluarów. I masy te idą posłusznie za nimi. Idą i pójdą wszędzie. Ci „kapitanowie” antydemokracji bliżsi są typem do tamtych z roku 1846-go i 1848-go. Łaknący bohaterstwa i walki. I młodzi swoimi ideami. I dlatego ufni w ostateczne swe zwycięstwo, które ich będzie udziałem.

Chyba jasne. Co? Poprostu — czarno na białem...

NAUKA I LITERATURA

PRUS I ORZESZKOWA CZY DYGASIŃSKI?

LAT pięćdziesiąt, jakie upłynęły od ukazania się drukiem „Chama” Orzeszkowej, dały prof. Pigoniowi pobudkę do napisania artykułu o „Uwłaszczeniu literackiem chłopa”, (W półwiecze „Chama”), co zamieściła „Myśl Narodowa” w Nr. 22 z dnia 22 maja rb.

W artykule wzmiankowanym prof. Pigoń pisze, że przez „Placówkę” Prusa i „Chama” Orzeszkowej „wkracza do piśmiennictwa polskiego chłop jako bohater powieściowy. Chłop nie fikcyjny, nie wyidealizowany, ani wykoncypowany zgodnie z takiemi czy innemi założeniami ideologicznemi, ale autentyczny, ujęty i odtworzony na podstawie obserwacji, przeprowadzonej z całą rzetelnością realisty, wzięty—jak Orzeszkowa powiedziała — „z natury widzianej, słyszanej, badanej”. Wierność odtworzenia — oto pierwszy wymagalnik i pierwsza wartość ludowych kreacji literackich Prusa i Orzeszkowej. Dygasiński dołączy się tutaj dopiero później”.

Otóż chodzi mi tu właśnie o Dygasińskiego, który nie dołączył się później, jak pisze prof. Pigoń, lecz przeciwnie—poprzedził i Orzeszkową i Prusa.

Zanim ukazał się „Cham” (1889) Orzeszkowej — wydrukował już Dygasiński 44 nowele i 3 powieści, wśród nich zaś była conajmniej połowa nowel, w których bohaterami są chłopi, w kilku z nich chłopi są niejako bohaterami na drugim planie, albo jest tematyka chłopska. W powieści „Właściciele” (1887) występują ubocznie typy chłopskie. Zanim Prus ogłosił swą „Placówkę” w r. 1885, już Dygasiński napisał sześć utworów z tematyką chłopską, a wśród nich

znanego „Niezdarę", „Jarmark na św. Onufry", no i słynną „Podpalaczkę". [1])

Jeśli uwzględnimy chronologię, to musimy powiedzieć, że nowatorem był właśnie Dygasiński, do którego później dołączyli się Prus i Orzeszkowa. Dygasiński pierwszy zerwał zdecydowanie z anachronizmem w literackiem ujęciu tematyki chłopskiej i pierwszy potraktował chłopa, „jako fenomen artystyczny sam w sobie".

Zupełny brak dzieł Dygasińskiego na rynku księgarskim jest dość często przyczyną przeoczania tego faktu, który pozwalam sobie sprostować gwoli ścisłości, ustalenie bowiem prawidłowego następstwa ma swoje znaczenie w historii literatury. Przy okazji zauważę, że należałoby zrewidować utarte mniemania co do T. T. Jeża, który był właśnie prekursorem tego ruchu nowatorskiego. Jeż zaczął szukać drogi, na którą zdecydowanie wstąpił Dygasiński, a do niego dołączył się później Prus i inni.

WŁADYSŁAW WOLERT

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Nagrodę literacką m. Lwowa im. Kornela Ujejskiego w kwocie zł 2,500 za rok 1937 przyznano prof. U. J. K. Wilhelmowi Bruchnalskiemu za całokształt pracy naukowej na polu badań literackich. Prof. Bruchnalski, nestor polonistyki, jest jednym z najbardziej zasłużonych historyków polskiej literatury.

Nagrodę literacką m. Krakowa na rok bieżący przyznano Ludwikowi Hieronimowi Morstinowi za książkę p. t. „Misterium nocy majowej." Na liście kandydatów znajdowali się ponadto: Tadeusz Kudliński za książkę „Rumieńce wolności" i Konstanty Krumłowski za „Jaskółkę z wieży Marjackiej."

RUCH WYDAWNICZY

Paweł Szumilas: „Z Tropu w Trop"... Lwów 1938 r. Nakład księgarni A. Krawczyńskiego. Str. 156.

Książeczka o powyższym tytule zawiera kilkanaście scen i obrazków myśliwskich, które dają autorowi sposobność do zanotowania własnych przeżyć na tle rozmaitego rodzaju łowów. Wszystko to tchnie b. żywem odczuciem przyrody i szczerą radością życia myśliwskiego. Czyny myśliwego, jego sprawność, celność strzału, przechwałki etc... nie mniejszą grają rolę w tych obrazkach od jego uciechy przebywania wśród uroku przyrody, w środowisku strzeleckich popisów. Uniesienia i zachwyty autora są niekiedy źródłem cokolwiek przesadnego przedstawiania rzeczy. Tak np. o tokowaniu głuszca autor w ten sposób się wyraża: „To nie pieśń ptaka, to nie śpiew stworzenia, to hymn całej puszczy, wypowiedziany gardłem jednego śpiewaka".

Na hymn puszczański tyle głosów przeróżnych się składa, że zwalać go na karb jednego śpiewaka, choćby to był najgodniejszy podziwu głuszec — trochę za ryzykowne. A zresztą nieodzowne, poniekąd z urzędu, zachwyty nad tokującym głuszcem — mogły się już uprzykrzyć nawet najczulszym na jego czary. Ze słownictwem myśliwskiem autora, także niezawsze można się zgodzić. Nastrzelałem się kszyków, za młodu, co niemiara, nigdy jednak nie zdawało mi się, żeby kszyk „zawarczał". Sama nazwa kszyka, najlepiej określa dźwięki przez niego wydawane.

Drobne te usterki nie zmniejszają prawdziwego wdzięku tych bezpretensjonalnych przeżyć myśliwskich. (W. J.)

*

W broszurze swojej p. t. „Beatyfikacja Skargi" (Warszawa 1937, wyd. XX. Jezuitów, str. 36) p. Zofia Kossak Szczucka szlachetną uprawia propagandę za beatyfikacją Skargi, krótko i lapidarnie swe argumenty podając. Skarga, chociaż mało pisze o sobie, zaznacza swoją potężną indywidualność w każdem słowie, w każdym postępku. Niema u niego rozdźwięku między słowem a czynem. Był prawdziwym tyranem dusz, czarodziejem, przyłudzającym dusze ludzkie słowami. Typ to człowieka przez naturę bogato obdarzonegp. Naczelne motywy jego życia to miłość Boga i miłość bliźniego. Skarga to chrześcijanin doskonały. Marzenia jego o męczeństwie nie zrealizowały się jak u św. Boboli czy J. Kuncewicza. „Wołał, kołatał, pragnął, tęsknił, kochał!" Dalekim był od spokojnego kwietyzmu, owszem, ciągle był żywotny. Noce oddawał modlitwie, dnie pracy wśród ludzi. „Modlitwa bez miłosierdzia — mówił — jest jako ptak z obciętymi skrzydłami, co wzlecieć do nieba nie może..." Przetwarzał życie do koła siebie. Tu źródło wszystkich jego poczynań społecznych, pierwowzór instytucyj dzisiejszych. Podczas gdy katolickość Kochanowskiego nieokreślona, Skarga jest katolikiem nawskroś. A być dobrym katolikiem, t. zn. być świętym. Polska ma wyjątkowo mało świętych. Prosić nam o cuda za jego wstawiennictwem. Pozbądźmy się trwogi rzeczy wielkich i niezwykłych. Zbudźmy w sobie „wspaniałe i szerokie serca!" Akumulatory Bożej energii leżą obok nas, cudowna biała magia również. Niech Piotr Skarga wspomoże naszą marność i słabość. Skarga święty...

(J. Św.)

[1]) Daty publikacji odpowiednich utworów, w tem Prusa i Orzeszkowej, biorę z Kaz. Czachowskiego „Obrazu współcz. liter. polskiej", t. III, 1936, tablica.

FILM

CASINO: „Dama pikowa", wedł. Al. Puszkina, reż. Fedor Ozep, film francuski.

Nie jest to zapewne najlepszy film Ozepa, dość w nim jeszcze jednak wartości zasługujących na uwagę. Bardzo słusznie uczynił reżyser, iż nie przesadzał w odmalowaniu wiernem kolorytu czasu i miejsca; Rosjanie sami z natury rzeczy, zrobili by to zawsze lepiej, zwłaszcza przy żywych ciągle tradycjach szkoły teatralnej (realistycznej) Stanisławskiego. Nie mamy więc tu naturalistycznego malowidła, skrawka obrazu dawnej Rosji, lecz zamiast tego utwór o dużym uroku poetyckim, film o niewatpliwie romantycznem posmaku. Wydobycie z dzieła filmowego tego nastroju jest najgodniejszą podkreślenia zasługą reżysera.

Zdjęcia są komponowane starannie, soczyste i malarskie (można było pójść dalej w kierunku pewnej wizyjności...), wszyscy aktorzy grają bardzo dobrze, niema w tym zakresie żadnego dysonansu. Do całości wrażenia przyczynia się także nader trafna obsada ról, tak, iż każda postać zyskuje pełnię artystycznego prawdopodobieństwa. Niektóre scenki wyreżyserowane bardzo żywo i ciekawie, natomiast scena balu źle ujęta fotograficznie i niewyzyskana.

ROMA: „Groźny Bill", film amerykański.

Już sam tytuł wyjaśnia poniekąd o czem tu mowa. Gdyby Ameryka miała swego filmowego Sienkiewicza, ten nakręcałby podobne obrazy. Bo to są właśnie (a raczej były) także amerykańskie Dzikie Pola, połacie kraju opaaowane przez różnych oprychów, miejsca w których ład społeczny i prawo z trudem powoli zakwitają.

Choć film jest z rodzaju awanturniczych, to znaczy zajmuje się zdarzeniami, a nie rysunkiem pogłębionym postaci, namiętności i zagadnienia charakteru. Mianowicie trzon treści opiera się na kontrastowem zestawieniu osób: ojca i syna. Ojciec jest właśnie opryszkiem, „groźnym Billem", syn — przedstawicielem prawa. Bill takich jak syn, sam dawniej katrupił, teraz pod wpływem budzącej się miłości do syna, powoli się przeradza. Morał przeprowadzono tu bez moralizatorstwa.

Pyszna gęba Wallace'a Beerry jest chyba największą okrasą tego filmu, urozmaicają go także plenery. Dziwny to zwyczaj warszawskich kiniarzy: trzeba lata, aby zobaczyć film z pejzażami. Karmieni zimą teatralnemi komediami, nakręcanemi w atelier, oglądamy widoki natury z prawdziwem zadowoleniem.

Pierwsza część „Groźnego Billa" zaprawiona jest humorem; można nim było bez szkody nasycić cały fim.

KANDYD

Z SALI ODCZYTOWEJ

KOŚCIÓŁ JAKO POLITYCZNY WYCHOWAWCA NARODU

PROF. F. KONECZNY w sali Domu Katolickiego przy ul. Nowogrodzkiej wygłosił pod tym tytułem świetny, syntetyczny odczyt, ujmujący w generalnych liniach żywo dziś przez ogół społeczeństwa odczuwaną treść naszej puścizny dziejowej: rolę Kościoła jako nauczyciela i moderatora państwa narodowego.

Oto, co usłyszeliśmy. Wprzód nieco o metodzie.. utarło się, w naukach przyrodniczych stosować wnioskowanie indukcyjne, już natomiast w dyscyplinach humanistycznych poprzestając na dedukcji lub w najlepszym razie na jałowej dość spekulacji, zrodzonej w medytacyjnem natchnieniu umysłu, u takiego np. uniwersalnego „mędrca" jak Bertrand Russel. Zwłaszcza jednak założenie sobie z góry pewnej przesłanki — poglądu w dziedzinie humanistycznego myślenia prowadzi do wypaczonych wyników, fałszywych nieraz zgoła, choć upatrzonych wniosków.

Jest rzeczą bezsporną, że wszelkie, jakie kiedykolwiek i gdziekolwiek działały, misje katolickie za cel obierały sobie osiągnięcie u nawracanych ludów i narodów pewnych zmian, odmierzanych w wyraźnych kategoriach dobra. I to jest cecha szczególna, po której poznajemy ślad owej roboty apostolskiej nawet z przed lat odległych: dążność do podniesienia moralności otoczenia oraz naturalny, automatyczny niejako wpływ na rozwój pojęć o państwie, zasadniczy ewolucjonizm w tej dziedzinie. Kościół bowiem, gdziekolwiek posyła swoich szermierzy, wprowadza w obyczaj dożywotnią monogamię, znosi niewolnictwo i mstę rodową oraz walczy o niezawisłość organizacji kościelnej od państwa. Powyższe cztery elementy prawno-obyczajowe stanowią niezłomny zrąb, na którym narody, obdarzone cywilizacją przez Kościół, są dopiero w stanie fundować wspaniałe gmachy swej oryginalnej twórczości. Zniesienie msty rodowej jest zaczynem sądownictwa państwowego, wydziera wymiar sprawiedliwości z rąk niepowołanych, odbiera jej charakter gwałtu a przeradza w swoistą instytucję ładu i bezpieczeństwa, wyznaczającą poziom obowiązujący w społeczeństwach cywilizowanych. Tutaj Kościół jest wyraźnie współczynnikiem rodzącej się państwowości.

Zresztą wtrąca się on także na Zachodzie, do panujących tam zwyczajów wojennych, ustanawiając słynne *Treuga Dei*, a w Polsce grzywny jako ekwiwalent krwi przelanej, dla złagodzenia zemsty rodowej. W Niemczech ostatecznie w XIV/XV w. zniesiono mstę rodową, która na Korsyce np. *(vendetta)* dochowała się do czasów najnowszych (XIX w.). Produktem jej ubocznym były jak wiadomo zbrodnie indywidualne oraz wojny, Kościół więc musiał ją zwalczać, a czyniąc tak, utwierdzał jednocześnie budowę nowoczesnej państwowości, rozszerzał jej kompetencje, tworzył poprostu od fundamentów stałą, nieprzerwalną władzę państwa.

Postulat monogamii łączy się ściśle i nawet warunkuje własność osobistą, która w poligamicznym ustroju jest nie do utrzymania. I tu więc wpływ Kościoła na życie społeczne jest dodatni — i zbawienny dla jednostki. Także zniesienie niewolnictwa mogło powstać tylko w pobożnej atmosferze, szacunku dla wiecznych przeznaczeń człowieka, dla jego trudu, nietylko fizycznego ale i umysłowego, jego wynalazczości i pomysłowości. Stąd jedynie pod opieką Kościoła możliwy kult rzemiosł, przemysłu i wynalazców.

Niezawisłość Kościoła od państwa, zrozumiała i oczywista jako wymagalnik samej istoty tej instytucji, rodzi pewne dalsze konsekwencje: żądanie, aby państwo stosowało w swojej praktyce etykę obowiązującą w życiu jednostki, podległej prawom chrześcijańskiego sumienia. Ideał państwa w katolicyzmie kształtuje się wedle wzoru z „*De civitate Dei*", wyznaczając w życiu realnem narodów dystans, mniej lub więcej odeń daleki. Zawsze jednak odciska się w jego konstrukcji ślad osobistego stosunku do Boga, znajdującego wyraz w konfesji osobistej, usznej. Tutaj różnica w stosunku do cywilizacji wschodu: buddyjskiej i żydowskiej, gdzie mamy spowiedź zbiorową, a więc bez pierwiastku osobistej odpowiedzialności za popełnione czyny. Katolicki personalizm przeciwstawia się żydowskiej gromadności. Na tym personalizmie wspiera się gmach łacińskiej cywilizacji, — na dobrowolności przytem jednostki. Stąd osiągamy ową jedność w rozmaitości, wyznaczającą barwną powierzchnię w zespole zgranym a przecież nie zmechanizowanym.

Inaczej zgoła w cywilizacji bizantyńskiej, owianej duchem sztucznej i martwej jednostajności, pozbawionej żywej i naturalnej rozmaitości. Tylko w atmosferze rozmaitości powstają zamiłowania i rodzą się powołania, tworzy entuzjazm, zapał i twórcza radość życia. Te są zbawienne owoce życia publicznego organicznego. Jaskrawy kontrast stanowi tutaj obraz życia społecznego zmechanizowanego, gdzie obowiązuje pewien wymedytowany i pomyślany *a priori* szablon, wiążący żywą treść martwemi przepisami całkującego systemu. Tymczasem w personalizmie poprzez myślenie *a posteriori* zdążamy do organiczności, do pełni i swobody organizmu. Typowym przykładem myślenia *a priori* i postępowania mechanicznego są różnego gatunku rewolucje.

Jasne też, że etyka mechaniczności jest inna niż ta która cechuje ustrój i ład organiczny, że godność osobista człowieka konserwuje się tylko w personalizmie.

Państwa bywają mechaniczne lub organiczne. W cywilizacji turańskiej są one mechaniczne, w łacińskiej organiczne. Mongołowie utworzyli ogromne państwo uniwersalne — i Turcja — i Bizancjum... niewątpliwa ich siła polityczna leżała poza społeczeństwem, poza o r g a n i z m e m narodu. Natomiast w dziejach łacińskiej cywilizacji nie znamy bodaj państwa, czerpiącego swe siły z poza społeczeństwa, silnego mimo jego słabości. Przeciwnie, każdorazowo siły państw rodziły się w mocy społeczeństw, w żywiołowej energii, zamienianej automatycznie na polityczne wartości. Silne społeczeństwo bowiem rodzi i silną organizację państwową. Państwo wyemancypowane ze społeczeństwa, dezorganizuje je, a samo stacza się ku nizinom słabości. Jak więc widzimy, rozmaitość w personalizmie, wiodące do organiczności myślenie *a posteriori*, oraz przewaga sił duchowych nad materialnemi — oto niezbędne cechy zbiorowości katolickiej.

Także dualizm prawny, z podziałem na: p r y w a t n e p u b l i c z n e, przeciwstawiający się turańskiemu monizmowi w tej dziedzinie: pochłonięciu prawa publicznego przez prywatne prawo jednostki, sprawiającej władzę w państwie. Jak wiemy, dziś kurs ma monizm prawny, wyłączność prawa dysponowania jednostką przy pomocy prawa pięści, jednem słowem — walka z personalizmem katolickim. Tymczasem państwo winno być jedynie uzupełnieniem prywatnego życia jednostki, nie zaś jej antytezą. Monizm prawny nie mieści się w katolicyzmie, gdzie obowiązuje zato monizm etyczny.

Następnie... katolicki uniwersalizm polityczny, co nie oznacza bynajmniej drapieżnej zaborczości. Jeden znany przykład w historii, gdy Leon III szedł przeciw Bizancium z ideą ożywiającą, utworzenia państwa Karola W. Jako podrzutek tej idei wyrodził się kult silniejszej dynastii i kult siły wogóle.

W polsce idea narodowa najwcześniej pojawia się na dworze kaliskim za Łokietka. We Francji dla dziedziczenia tronu jedynie miarodajne było kryterium dynastyczne, dopiero Dziewica Orleańska rzuciła narodowe hasło obrony Karola VII — sprzeczne z racjami prawniczemi. Ogłosiwszy

Joannę d'Arc świętą, Kościół uświęcił ideę państwa narodowego. Rok 1431 to męczeństwo Patronki Francji, r. 1435 — bitwa pod Wiłkomierzem, polski triumf idei państwa narodowego. Wskrzeszenie państwa polskiego to także olbrzymie zwycięstwo na tem polu.

Dzieje Kościoła w Polsce to jedna złota nić w narodowym amarancie. Niewolnictwa nie było u nas prawie wcale. Do XII w. kupowano jeszcze coprawda niewolnika od żydów ale nie odsprzedawano dalej, przyswajano dla miejscowego podłoża. Później Kościół zabronił i tego na swoich synodach. Były i walki o niezawisłość Kościoła: z Bolkiem Śmiałym i Mieszkiem Starym. Naogół jednak omnipotencji państwa skutecznie przeciwdziałały: samorząd i decentralizacja, nie szkodzące bynajmniej jego jedności. Kościół to broni Polskę przed Krzyżakami, „utajonymi wrogami Chrystusa", organizuje unje (symbol personalizmu: „równi z równymi, wolni z wolnymi"). Skarga („Polska z postanowienia Bożego"), Starowolski czy Konarski to przecież także niezastąpieni dotąd nauczyciele patriotyzmu.

Znakomitego odczytu wybitnego uczonego wysłuchała licznie zgromadzona, doborowa publiczność.

St. J.

INFLANCJA TANDETY

ZNAMIENNY objaw dla epoki, w jakiej żyjemy: tandeta. Mowa tu przedewszystkiem o tandecie duchowej. Gorliwym i szkodliwym tej tandety propagatorem jest w czasach ostatnich radio. Wystarczy posłuchać przez kilka dni radiowych „jazzów" i „trottów", aby się na czas dłuższy zniechęcić do muzyki. Kinematograf, a właściwie przyczyny, które spowodowały funkcjonowanie społeczne sztuki kinematograficznej, odzwyczaił ludzi od sztuki teatralnej. Technika wytwarza namiastki w dziedzinie konsumcji duchowej i obniża poziom przeżyć przy postawie biernej.

A co się dzieje w zakresie słowa drukowanego?

Uważna obserwacja produkcji książkowej pozwala na wysnucie wniosku, że mimo wszelkie narzekania księgarzy i wydawców mamy tu jednak do czynienia z nadprodukcją. Powstał przemysł, produkujący książki, jako fabrykat, który należy na rynku ulokować, czyli sprzedać. Trafnie powiedział Calvet francuski krytyk katolicki, że obecnie „przemysł literacki jest to sztuka przerabiania papieru na bilety bankowe".

Norwid, Słowacki, Krasiński, Mickiewicz i im podobni pisali dlatego, że czuli mus wewnętrzny, musieli się wyswobodzić ze swoich wizji twórczych. A pisali wtedy, kiedy mieli coś do powiedzenia — publiczności.

A dziś? Nie trzeba się przecież uciekać do przykładów zagranicznych, wystarczy rozejrzeć się wśród płodów piśmiennictwa rodzimego.

Półki księgarskie uginają się pod ciężarem przeciętności, tandety duchowej. Słowo drukowane rozszerzyło zasięg, ale jednocześnie uległo ogromnemu spłyceniu. Dostarczyciele książek literackich, tak zwanej beletrystyki, to przeważnie rzemieślnicy, bez dobrej znajomości swego rzemiosła, kobiety i grafomani. A kobieta pisząca, to naogół postać straszna. Alfons Karr, poczytny wśród kobiet swego czasu powieściopisarz, powiedział kiedyś, że kobieta literatka zwiększa liczbę książek i zmniejsza liczbę kobiet. A więc popełnia dwa grzechy śmiertelne. Ten drugi przeciw naturze, pierwszy przeciw duchowi.

Spojrzyjmy na statystykę druków. Prawdziwa lawina. Ale co to wszystko warte? Żołądek, któremu się stale daje liche bezwitaminowe, a więc bez życianów pokarmy, zbuntuje się wreszcie i zacznie chorować. Spowoduje to osłabienie i zlichotnienie organizmu. Także i mózg, karmiony lichą strawą duchową, zacznie słabować. A cóż może być bardziej zdradliwego, jak pochorowanie się z nadmiaru lichego pokarmu? A właśnie dzisiaj przeciętny człowiek jest stale na to narażany. Szersza publicznosc jest naogół bez busoli i czytuje to, co modne. A dziś modna przeważnie lichota, bo taki duch czasu.

Znana to prawda, że lepiej przeczytać dobrą książkę wartościowego pisarza poraz drugi, a nawet trzeci i czwarty, aby dojrzeć w niej coraz to nowe głębie, niż uganiać się za tandetą, byle modną. Pod tym względem grzeszą kobiety, których ciekawość pcha od jednej książki do drugiej bez względu na jej wartość. Są bowiem dziś kobiety, które muszą mieć zajęcie dla oczu tak, jak ich babki musiały mieć zajęcie dla rąk przy robieniu szydełkiem.

Na mnożące się objawy tandety zaczynają narzekać także i naukowcy. P. Jan Rutkowski w bardzo ciekawym szkicu „O podniesienie poziomu twórczości naukowej" pisze: „Nie tylko w popularnych pracach, ale i w takich, które mają pretensje, aby je zaliczać do samodzielnych prac ściśle naukowych, można się spotkać z przemilczaniem faktów, mających zasadnicze znaczenie a rzucających odmienne światło na przedstawienie rzeczy, niż to, na którym zależy autorowi. Zdarzają się falsyfikaty, plagiaty i inne podobne rzeczy". (Nauka Polska, XXII). A przecież to nic innego, jak objaw tandety naukowej.

A ile jest grafomaństwa naukowego?

Współczesne przyczynkarstwo, zrodzone przez t. zw. „naukowców" bez myśli twórczej, bez talentu, polotu, wyobraźni naukowej jest w wielu wypadkach objawem tandety. A wszelakie przyczynki płyną Niagarą.

Te ujemne cechy twórczości naukowej są „przejawem kryzysu, który zupełnie słusznie został nazwany kryzysem nadmiaru, a który jednocześnie jest kryzysem jakości. Kryzys ten ogarnął całą dzisiejszą kulturę duchową. Nietylko w nauce, ale również w literaturze, sztukach plastycznych, i w muzyce mamy przerażającą inflancję tandety".

Zjawisko charakterystyczne dla naszych czasów. A znamienne, że tandetę ową spostrzec można nietylko w dziedzinie wyżej wskazanej, lecz i w polityce, w administracji.

Wszystkie dziedziny życia ulegają naporowi tandety.

A nie łatwa ocena, gdzie tkwi główne źródło błędu. Tych źródeł jest zapewne wiele.

W pochodzie dziejowym, upojony zwycięstwem nad przyrodą, pełen pychy — człowiek stracił Boga. I jest bez busoli na bezmiernym oceanie życia.

QUIS

NA MARGINESIE

Wł. Studnicki, pisząc w „Słowie" o „rządzie lubelskim" z powodu książki Honowskiego „Rok 1918", podaje ciekawy szczegół z życia prezesa Sieroszewskiego. Jako współtwórca tego rządu, wyjechał do Warszawy, żeby zmobilizować POW do walki z Niemcami. „Przybył do Warszawy z 50 kg. dynamitu" i zameldował się Piłsudskiemu. Usłyszał odpowiedź: „Idź pan spać". Studnicki pisze dalej: „Sieroszewski całe życie przejawiał zapał i inteligencję 15-letniego chłopaka, nie zdającego sobie sprawy z obiektywnych warunków. Siedzi w nim rewolucjonista typu rosyjskiego", co mu nie przeszkadzało w r. 1906 pisać o Sienkiewiczu, że „sieje kult gwałtu przemocy, grabieży"... „Był w swoim czasie postępowym demokratą, zwolennikiem autonomii Królestwa, niepodległościowcem" i t. d.

Warto zanotować te dane na marginesie bajek, które mu opowiadała niania.

*

Brzydki zbieg wypadków zdarzył, że gdy p. Miedziński w organie OZN utrzymuje, że odsuwanie od siebie kombatantów żydów byłoby ze strony Polaków „świństwem", jednocześnie ujawniło się w procesie, iż referat inwalidzki w starostwie był żydowską fabryką świadectw inwalidzkich. Była w robocie podrobiona pieczątka starostwa, żydzi w archiwach gospodarowali, pieniądze żydowskie krążyły.

Panie Miedziński, niech pan lepiej i tę furteczkę, zostawioną dla żydów, trochę przymknie. To nie będzie świństwo. Nie trzeba być zbyt subtelnym.

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA

„MYŚL NARODOWĄ"

NA KWARTAŁ III

PRENUMERATA WYNOSI:

Całoroczna	zgóry	32 zł.
Półroczna	„ „	17 zł.
Kwartalna	„ „	9 zł.

Kwoty do 50 zł. przesyłać można bezpłatnie za pośrednictwem blankietów rozrachunkowych, które także można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

Należy przypisać konto rozrachunku pocztowego Myśli Narodowej Nr. 98.

Konto czekowe P. K. O. 3105.

PO ZNIŻONEJ CENIE

dla czytelników „Myśli Narodowej"

nabywać można w Administracji lub w redakcji „Myśli Narodowej" następujące książki

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

1.	Norwid	zł. 3—
2.	Aspazja i Alcybiades	„ 2.50
3.	Pieśń w górach	„ 2.50
4.	Wnukom o prapradziadku	„ 1.50
5.	O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej	2—
6.	Z życia poety romantycznego (S. Goszczyński)	1.50

(Na koszta przesyłki trzeba doliczać 10%)

TREŚĆ:

Porozumienie polsko-żydowskie *Obserwatora*. — Ludność Niemiec *St. Kozickiego*. — Pro domo *St. Pieńkowskiego*. — Psychologiczna pomyłka socjalizmu *Z. Wardejna*. — Listy Henryka Sienkiewicza *J. Birkenmajera*. — Arbitraże literackie żydów *P. Ponisza*. — Z Horacego *J. Birkenmajera*. — Na widowni *Z. Wasilewskiego*. — Głosy. — Nauka i literatura *W. Wolerta*. — Ze świata literackiego. — Ruch wydawniczy (*J. Św.*) — Film *Kandyda*. — Z sali odczytowej *St. J.* — Inflancja tandety *Quis'a*. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 8. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.